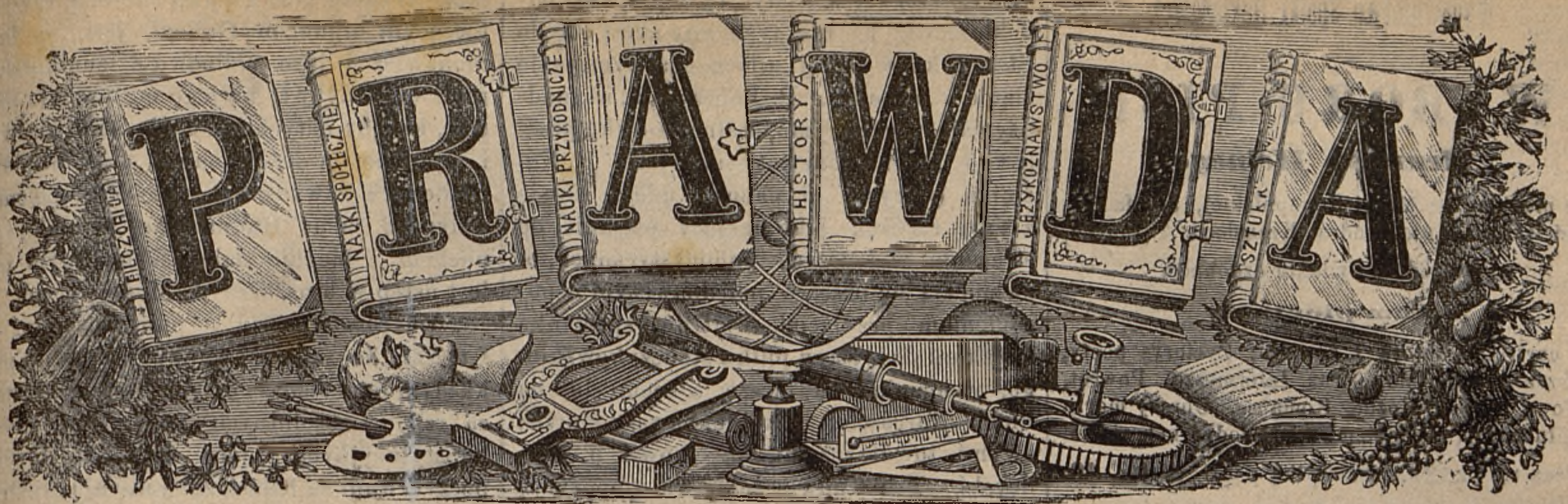
№ 45. Warszawa, dnia 9 Listopada (28 Października) 1889 r. Rok IX.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: **kwartalnie** rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TYTUS CHAŁUBIŃSKI

umarł.

Umarł lekarz genialny, człowiek wielki, umysł potężny, charakter wspaniały, umarł ten, który dawał zdrowie i wydzierał ofiary śmierci. Był między nami jako jeden z tych tatrzańskich olbrzymów, które ukochał i które dziś pochyliłyby przed nim swe żałobne czoła, gdyby je chyliły przed kimkolwiek. Z głową ku słońcu, a z sercem ku ziemi zwróconem, z tym boskim oddechem, który według mędrca starożytnego znamionuje ludzi prawdziwie wielkich, przeszedł swą kolej, nie rzucając za sobą cienia, lecz blask. Dusza jego zbierała w sobie tylko promienie życia, a życie widziane przez nią wydawało się promiennem. Należał on do tych, którzy bywają światłami swego czasu, zaszczytem społeczeństw, dobrem współczesnych, dumą natury, objawiającej w nich swoją siłę i uroki. Zostawił nam wiele zasług do rozpamiętywania, wiele zobowiązań do wdzięczności, ale tyle powodów do żalu, że w tej chwili możemy się oddać tylko smutkowi i z niemą boleścią wpatrywać się w tę odchodzącą od nas czcigodną postać i w ten grób, w który zamiast ziemi rzucamy serca.

POLITYKA.

LISTY MIŁOSNE STAŃCZYKÓW.

Od paru miesięcy toczy się w Krakowie ciekawa korespondencya publiczna pomiędzy kilku stańczykami. Zdaje się, jak gdyby przyjacielska czwórka, która codziennie zasiada z sobą do whista i uczestniczy we wspólnem przedsiębiorstwie, powiedziała sobie razu pewnego: zabawmy się w listy otwarte do siebie; naprzód napisze Tarnowski do wszystkich, potem Bobrzyński do Tarnowskiego, potem Koźmian do Bobrzyńskiego, a potem Madeyski do Koźmiana. Tak się stało. Nagle ci czterej panowie, którzy nieustannie z sobą obcują i mają tysiąc sposobności otworzenia wzajem swych głów i serc do dna, zaczęli drukować do siebie listy. Jeżeli korespondencya ta nie wyraża dobrego o swem znaczeniu mniemania jej autorów, przekonanych, że naród powinien słyszeć ich rozmowę, co byłoby humorem bezwiednym, to stanowi farsę umówioną z humorem świadomym. W każdym razie uciechę zapewnia.

Pierwszy głos tego kwartetu w *Przeglądzie polskim* słyszeliśmy. P. Tarnowski oddeklamował po raz tysiączny starą odę do Stańczyka, w której „affirmacya" rymuje się ciągle z „negacyą." P. Bobrzyński, nie nadużywając tego rymu, palnął mówkę przeciwko „elementom katylinarnym." P. Koźmian (wszyscy ci panowie udają, że się z sobą różnią), jako mający najmniej do stracenia w szarżach publicystycznych, oświadczył się przeciw pojednawczym usposobieniom przyjaciela i jak owa spartanka krzyknął do rycerzy pułku stańczykowskiego, wskazując na tarcze: z niemi lub na nich! Nareszcie, przyklęknąwszy przed swymi towarzyszami, przemówił p. Madeyski. Ten znowu sejmową „opozycyę zrymował z „negacyą," „destrukcyą," „korrupcyą," „anarchią" itd. Jeżeli jego wywody warte są rozbioru i odparcia, to tylko na gruncie miejscowym, gdzie drobiazgi, sprawy osobiste i taktyczne mają swoją wagę. Znaczenia szerszego, wychodzącego po za rogatki lwowsko-krakowskie, gadanina ta nie posiada wcale. Natomiast cała owa korespondencya miłosna między czterema stańczykami zasługuje na zaregestrowanie jako znamienny dokument wartości politycznej stronnictwa rządzącego w Galicyi. Jest w tych liścikach erotycznych wszystko: i serdeczne gruchania kochanków, i wzajemne usługi wspólników, i zachwyty jednej mądrości nad drugą, i myjące się ręce, i wspierające się nogi, i niewydziobywanie sobie oczu wzorem zgodnych kruków, i obelgi dla przeciwników, i kadzidła przed ołtarzem dobra społecznego — tylko niema ani słowa o sposobach wydźwignięcia narodu z nędzy, niedoli, ciemnoty i upadku. Jest to kłótnia o wpływy i władzę, a nie spór o przedmioty tych wpływów i władzy. Czy w sejmie będzie większość „affirmacyjna," czy wybory oddadzą swe głosy liberałom, czy zachowawcom; czy Koło polskie w Radzie państwa będzie „konstrukcyjnem," czy „destrukcyjnem" — oto główna oś walki. Jak zapobiedz, ażeby ludzie nie umierali z głodu i nie marnieli w ciemnocie, jak podnieść dobrobyt ekonomiczny kraju, jak wydobyć lud z nędzy — tem „konstrukcyoniści" głowy sobie nie zaprzątają. Według nich główną chorobą, rakiem toczącym organizm Galicyi, jest... p. Romanowicz i jego polipowo-dziennikarskie ramiona. Gdyby tylko jego można było wyciąć, kraj by natychmiast odzyskał zdrowie i szczęście. A jeżeli nawet czasem pióro Stańczyka zawadzi w przelocie polemicznym o jakąś istotną ranę, to zakleja ją puchem i biegnie dalej. Klasycznym np. jest ustęp w broszurze p. Madeyskiego:

„*Nie zapominajmy* — powiada autor — *i o tem*, że zaniedbywani przez lat sto pod każdym względem z umysłu i systematycznie za rządów absolutnych, później przez czas konstytucyjnych rządów dzisiejszej lewicy poczytywani za balast, zniemczeniu Austryi zawadzający, myśmy musieli pozostać w tyle po za zachodniemi krajami państwa pod wielu względami, a zwłaszcza też pod względem *oświaty ludu i ekonomicznego rozwoju wszelkich gałęzi produkcyi i handlu*. Ta różnica odbija się *coraz bardziej*, im szybciej kroczy postęp na Zachodzie. Dlatego *coraz więcej* wychodzi na jaw *rażąca niestosowność* nowoczesnego prawodawstwa państwowego dla stosunków naszego kraju, *coraz dotkliwiej gniecie kraj nasz stopa ciężarów publicznych*, wymierzanych według sił zachodniej części państwa, a równo i na nas nakładanych, *coraz niecierpliwiej* kraj nasz domaga się od państwa inwestycyj dla niego nieodzownych. Wynika stąd..."

Jakże wam się zdaje: co „stąd wynika?" „Wynika— uważajcie — pewna nieuniknioną odrębność praktycznej polityki naszej w Radzie państwa, która działalność naszą tamuje. Bo własna obrona staje częstokroć na zawadzie zupełnemu uspokojeniu potrzeb *innych* krajów, zaś dla naszych potrzeb tamte kraje nie mają należytego zrozumienia." Ale my mamy dla nich to „zrozumienie." „Inwestycyj, których żądamy— objaśnia p. Madeyski — inne kraje *już nie potrzebują*, bo otrzymywały je *oddawna, ciągle i systematycznie.*" Dlaczego? Czy nie przechodziły również epoki „rządów absolutnych" i gospodarstwa lewicy? I owszem, ale one miały „zrozumienie dla swoich potrzeb" i nie sprzedawały intere-

---

ONA i ON.

ONA.

II.

Zerwała się z łóżka. Doszła po omacku do stołu. Już trzymała zapałkę w jednej ręce, a klosz, zdjęty z lampy, w drugiej.

W tem— rzuciła zapałki, postawiła klosz i, cisnąwszy się na krzesło, przed stołem, zakrywszy twarz rękami, powtarzała: „Nie, nie... ten list... On mnie nie kochał, kiedy tak mógł napisać, jak wtedy napisał..."

Płakała znowu ciepłemi, rzęsistemi łzami.

Umysł jej odtwarzał chaotycznie obrazy tej ciemnej, zimowej nocy, w czasie której porzuciła męża...

On powiedział po długiej sprzeczce, po gniewnych, ostrych wyrzutach z jej strony: „Jeżeli ci nie dobrze ze mną, jeżeli się czujesz nieszczęśliwą, to dziś jeszcze możesz mię opuścić. Nie będę miał o to żalu i zapewniam, że przez policyę poszukiwać ciebie nie będę..."

Powiedział to z zimną krwią i angielskim spokojem, rozbierając się, składając zdjęty z siebie tużurek...

Ona uciekła. Zacięła usta i wyszła do przedpokoju.

Wzięła na siebie futro, wiszące na kołkach, zarzuciła na głowę i owiązała koło szyi końce koronkowego kapturka, którego nie schowała jeszcze po powrocie z teatru.

Otworzyła drzwi.

On na nią nie zawołał.

Zamknęła je z łoskotem.

W głowie jej się kręciło.

Na schodach było ciemno. Stróż przed godziną poprzykręcał gazowe lampy.

Powoli, ostrożnie zsuwała się ze stopni. Ręce jej drżały. Szukała poręczy: nie mogła jej znaleźć...

Przystawała co krok, słuchając...

Coś skrzypnęło... Pewnie Janek podszedł do drzwi i otwiera je...

Wyjdzie ze światłem i zawoła na nią...

Serce jej biło. Nie mogła oddychać... Spojrzała w górę: nie dostrzegła nikogo.

Ciemno zupełnie. Przez okna nad schodami bielały tylko dachy i kominy domów. Śnieg padał na szyby garściami zlodowaciałych grudek.

Nikt nie wołał...

Łzy dławiły ją w gardle, a nie mogła płakać. W szczękach czuła ściskanie.

Trwoga przed jutrem, żal za wszystkiem, co traciła, rozsadzały jej piersi...

Schodziła wolno. Byłaby chciała schodzić tak do rana, a rano— zemdleć, żeby *on* pieszczotami przywracał ją do życia... Żeby ukląkł nad nią, całował jej zimne ręce, szkliste, zapadnięte oczy i mówił: „obudź się, obudź!"

Usiadła na schodach, oparła głowę o ręce, złożone na kolanach i myślała: „żebym mogła umrzeć w tej chwili.."

Widziała siebie na katafalku w kościele. Mnóstwo kwiatów dokoła trumny; mnóstwo świateł, zaglądających jej w oczy; mnóstwo ludzi, klęczących przed ciałem jej, a *on* — *on* z głową odkrytą, oparty o słup w głębi tam, gdzie zupełnie ciemno, naprost katafalku i wpatrzony w twarz jej martwą, bladą, nieruchomą, a jednak—do *niego* uśmiechniętą...

Zaczęła wreszcie płakać.

Zrobiło jej się lżej: w gardle mniej dławiło; piersi i serce mniej rozsadzało...

Nadzieja i otucha wstępowały w nią powoli.

On jej tak nie zostawi. Nie pozwoli jej wyjść za bramę samej, po nocy...

sów ogółu za miskę soczewicy stańczykom ofiarowanej, bo im nie przewodniczyli ludzie, których więcej martwi p. Romanowicz z Rewakowiczem, niż to, że Galicya „pozostała w tyle za krajami Zachodu pod względem oświaty i rozwoju ekonomicznego," że „różnica ta odbija się coraz bardziej," że ją „coraz dotkliwiej gniecie stopa ciężarów publicznych." O tem trzeba myśleć i nad tem radzić, a nie nad affirmacyą, negacyą, destrukcyą i innemi *cyami.* „Po czynach ich poznacie je." Obecny stan Galicyi jest w znacznej mierze dziełem Stańczyków i świadectwem wartości ich gospodarki. Nie „negacya" więc, ani „destrukcya" rodzi się w żywiołach liberalnych tej krainy, ale przemawia przez nie jej instynkt samozachowawczy. P. Madeyski rozumie zróżniczkowanie się własnego obozu — pojmuje sztandar biały, biały w prążki różowe, żółte i czarne, ale nie rozumie zróżniczkowania się pierwiastków społecznych — sztandaru innej barwy, a tem tylko dowodzi, że nie pojmuje potrzeb narodu i nie odczuwa jego niedoli.

Świadczy o tem cała korespondencya miłosna Stańczyków — pusta, samochwalcza i samolubna.

Z AUSTRYI.

Wiedeń, 2 listopada.

Umundurowanie urzędników. — Nowe rozporządzenie o armii austro-węgierskiej a opozycya węgierska.—Minister Fejervary oskarżony o przekroczenie ustawy. — Nowe zdarzenie w rodzinie Habsburgów.

Rząd austryacki wydał dwa rozporządzenia o dążnościach sprzecznych. Rozporządzenia te charakteryzują wewnętrzną jego politykę, opartą nie na programie wymierzonym ku wzmocnieniu budowy państwowej, ale na zmiennych układach ze stronnictwami. Tisza był w Wiedniu i po długich walkach uzyskał spełnienie dawnego życzenia węgrów: armia austryacka będzie nadal nazywała się urzędownie „cesarską i królewską," nie „cesarsko-królewską," jak dotychczas. Podczas więc gdy z jednej strony ten silny i jednolity węzeł wielojęzycznego państwa rozpada się na dwie części, z drugiej strony pomyślano o stworzeniu nowej armii, bardzo niejednolicie dziś złożonej: wszyscy bez wyjątku urzędnicy państwowi od przyszłego roku będą umundurowani. Wieść o tem rozeszła się już przed kilku miesiącami, dotychczas jednak zajmowała tylko pisma humorystyczne, które wyzyskiwały w pocieszny sposób wdzięczny motyw. Nakaz wywołał oburzenie zarówno u zwolenników rządu obecnego, jak u opozycyi wiernokonstytucyjnej. Pierwsi gwałtownie występują przeciw środkowi, przypominającemu system Bacha, drudzy ze stanowiska liberalnego zarzucają rządowi tendencyę tworzenia kast odrębnych w społeczeństwie, według recepty Lichtensteina. Zdaje nam się, że charakter i doniosłość tego rozporządzenia są jasne. Ze stanowiska rządu austryackiego jest to środek dobrze obmyślany, niewątpliwej doniosłości; kraje o dążnościach autonomicznych, odśrodkowych, powinny go się obawiać o tyle, o ile rząd nadzieje na nim pokładać może. Nie pomogą kpiny zrzeszonej opozycyi: darmo gabinet Taaffego nazwano „ministerstwem krawców," darmo zarzucają mu, że rujnując biednych urzędników, ma na oku poparcie przemysłu drobnego; w tym jednym wypadku gabinet istotnie wie, czego pragnie i co czyni a z góry przepowiedzieć można, że na odnośnem polu idea, jednocząca różnorodne żywioły, poczyni postępy. Umundurowanie wojska ma na celu nietylko ułatwianie ruchów w marszu i w walce, nietylko łączność taktyczne potrzebną: budzi ona silne poczucie przynależności do stanu odrębnego, utożsamiającego się z jednością i siłą państwa. To również ma osiągnąć umundurowanie urzędników państwowych, którzy obecnie dobierani z narodowości zamieszkującej kraj odnośny, nie wyszli wcale ze społeczeństwa, w którem działają i licznymi węzłami z niem są spojeni. W Galicyi emigranci i przestępcy polityczni nieraz doznali w przykry sposób ścisłego związku, istniejącego między kołami towarzyskiemi a urzędniczemi; oni też jedni z osobistego punktu widzenia z radością powitać mogą inowacyę, która urzędników odetnie bardziej od społeczeństwa. Kraj zaś ubolewać nad tem musi, że liczna warstwa inteligencyi, która w ostatnich latach nieraz dawała dowody obywatelskości, narażoną będzie na wpływ wrogi. Dotychczas wprawdzie przepisanem jest noszenie munduru tylko w służbie, na ulicy zaś i w domu jest tylko „pożądanem i chętnie widzianem." Atoli już ta okoliczność, że „szefowie" chętnie widzieć będą mundury na ulicy i w towarzystwie, a bardziej jeszcze względy ekonomiczne, to spowodują niezawodnie, że się utrwali. Wiadomo, że wielka masa urzędników, pobierające pensye drobne, a zmuszona żyć przyzwoicie, zadłużona przeważnie, z trudnością zdobędzie się na sprawienie sobie uniformu, poczyniwszy zaś raz wydatki znaczne, będzie musiała używać go jako ubioru zwykłego. W przepisie, że mundury sprawiane będą nie na koszt rządu, ale na koszt urzędników z potrąceniem rat, jest nie mniej tendencyi praktycznej, aniżeli bezwzględności i niesprawiedliwości. Owa tedy reforma jest pomysłem niepodrzędnej wagi w walce rządu z odśrodkowemi dążnościami krajów: po zniesieniu wspólnego języka urzędowego, uniform stanowić ma niejako niemy język państwowy. A jednak, nie trudno orzec, kto w tej walce jest silniejszym, kto zwycięży ostatecznie: dążności grup narodowych, przejawiające się z siłą żywiołową, czy też środki sztuki państwowej, mające sztucznie utrwalać budowę historyczną, pękającą na całej powierzchni.

Tryumf odniesiony przez Tiszę w sprawie tytułu armii, utrwali niezawodnie pozycyę gabinetu jego, na który opozycya kuje broń ze sprawy chorągwiowej, o której wspomnieliśmy poprzednio. Obawa rozpraw nad tym przedmiotem była pono głównym powodem skłaniającym decydujące w Wiedniu osobistości do ustępstwa wobec żądania Tiszy. Jak blizkiem jest już niebezpieczeństwo grożące mu z tej sprawy, o tem świadczy wniosek Iranyego w sejmie budapeszteńskim: o postawienie ministra Fejervaryego w stanie oskarżenia dlatego, że wbrew przepisowi ustawy z r. 1868, dotyczącego sztandaru węgierskiej obrony krajowej, polecił oznaczanie domów komendantów wyższych chorągwiami czarno-żółtemi. Minister Fejervary nie stracił dobrego humoru podczas odczytywania wniosku, a kiedy przy końcu obrad prezydent zauważył, że najbliższe posiedzenie odbędzie się dopiero 6 listopada, rzekł wśród wesołości ogólnej: „Do tego czasu tedy będę jeszcze na wolności?"

Dom Habsburgów zgotował światu nową niespodziankę. Arcyksiążę Jan, który w ostatniem dziesięcioleciu liczne dawał dowody samodzielności umysłowej i odwagi cywilnej, zrzekł się urzędów zajmowanych dotychczas, a zarazem wszystkich przywilejów, przysługujących mu z tytułu przynależności do domu cesarskiego. Należał on do najzaufańszych przyjaciół arcyksięcia Rudolfa. Wraz z nim zdemaskował spirytystę Bastiana. R. 1883 wygłosił w kasynie wojskowem odczyt p. t. „Drill oder Erziehung?"

Poruszyła się, szukając chustki w kieszeni sukni, pod futrem.

Końcem bucika trąciła jeden z prętów żelaznych, przytrzymujących chodnik na schodach.

Głuchy łoskot rozległ się dokoła.

Drgnęła przerażona. Serce jej zabiło gwałtownie.

„A może, może to nie tutaj tak stuknęło?.. Może co stało się na górze?.."

Jednym tchem, po ciemku, wbiegła na drugie piętro, stanęła przy drzwiach i przez dziurkę od klucza zajrzała w głąb przedpokoju.

Wązka smuga światła wpadała tam, widocznie od lampy z sąsiedniego pokoju, po którym chodził *on* dużymi krokami...

Nie widziała *go.* Cień tylko migał od czasu do czasu na smudze światła w przedpokoju. Poznawała jednak *jego* chód. Wiedziała zresztą, że, prócz *niego,* nikogo tam niema. Służące śpią pewnie i o niczem nie wiedzą...

Nogi drżały pod nią. Serce jej biło...

Coś ją kusiło, żeby zadzwoniła.

Byłaby wpadła do *niego,* rzuciła się na szyję, płakała na *jego* piersiach. Potem — jużby się nigdy nie gniewali...

Wyciągnęła rękę, lecz spuściła ją zaraz.

Usiadła na progu przed drzwiami, pytając sama siebie: „kto dziś zawinił?.."

„Już nigdy nie będę *mu* robiła takich ostrych i przykrych wymówek. Nie miałam słuszności. Mogłam powiedzieć to samo łagodniej..."

Potępiała siebie. Mówiła w duszy: „ja powinnam przeprosić!.."

W tem, jak złowrogie echo, zabrzmiały w jej uszach ostatnie słowa męża: „możesz mię dziś jeszcze opuścić..."— wypowiedziane chłodnym, rozważnym tonem...

„W nocy, po ciemku kazał mi iść od siebie, jak gdybym go już nic nie obchodziła..."

Zerwała się, tłumiąc łkanie i zbiegła na dół. Stróż, rozespany, otworzył jej bramę, nie wiedząc nawet, kogo wypuszcza.

Drżała całem ciałem. Koronkowa zarzutka odskakiwała od grzywki nad skroniami. Futerko na piersiach poruszało się szybko.

Biegła prędko, poślizgując się o gładkie płyty kamieni, z których wiatr zwiewał śnieg pruszący.

Po kwadransie stanęła na środku dwóch, rozbiegających ulic i zapytała sama siebie: „dokąd pójdę?.."

Wolno, ze spuszczoną głową skręciła na lewo i wyszła na plac szeroki, zajęty skwerem.

Jakiś mężczyzna w szarem, wytartem palcie postąpił ku niej, zajrzał jej w oczy, kiwnął głową przecząco do policyanta, stojącego pod latarnią i nie śledził jej dalej.

Skręcała to w jedną, to w drugą ulicę. Już podchodziła do jakiejś bramy i miała zadzwonić, to znów cofała się.

Wreszcie szybko, bez namysłu skierowała kroki w stronę alei.

Wszedłszy w nie, rozejrzała się, nakoniec stanęła przed czteropiętrową kamienicą. Stróż, odprawiający stójkę, wpuścił ją. Zapytała go, wchodząc: „czy pani Matylda Z. jeszcze nie wróciła?"

— Nie, dopiero ma przyjechać pojutrze— brzmiała odpowiedź.

Weszła na schody i dopiero, zatrzymawszy się przed drzwiami niskiego mieszkanka w oficynie, pomyślała sobie: „co powiem służącej?"

Zadzwoniła. Kasia ze snu przywitała ją jako swoją panią.

Nie zaprzeczała. Kazała jej iść spać.

Sama — przesiedziała do rana w futrze i w kapturku na łóżku przyjaciółki, której mieszkanie miała pod swoją opieką podczas nieobecności.

Rano dopiero spostrzegła, że jej gorąco i że ją coś ściska koło szyi.

w którym występował przeciw panującym dotychczas zasadom wychowania wojskowego, wchodząc w starcie z dworem i najbliższymi krewnymi. Mimo to awansował na dowódcę dywizyi w Linzu. Przez czas pewien zajmował się pracami literackiemi; dla wielkiego, zbiorowego dzieła „Oesterreich im Wort und Bild“ opisał pomniki budownictwa w Dalmacyi, nadto wydał samoistnie dzieło przepyszne o pomnikach budownictwa w Austryi Górnej. Równocześnie poświęcał się naukom ścisłym, a przed kilku tygodniami zdał w Fiume przed komisyą państwową egzamin na kapitana okrętowego — egzamin, wymagający gruntownych wiadomości matematycznych, technicznych i przyrodniczych. Na podstawie dyplomu stara się obecnie o posadę kapitana na okręcie amerykańskim „Szukam prawa do pracy“ — w tych słowach streszcza on swoje postanowienie. Posiada obecnie zaledwie tyle, ile potrzeba do życia skromnego. Dwór, przyjąwszy do wiadomości jego decyzyę, zamianował dlań adjutanta, oficera marynarki Pietruskiego: arcyksiążę odesłał adjutanta. Opuścił matkę sędziwą a przywiązaną doń i na długi czas — Austryę; nadmienia jednak w liście swym, że w razie potrzeby wroci, by stanąć w rzędach armii jako prosty żołnierz. Prawdziwie, czy człowiek ten zasługuje na to, by nazywać się Jan Nepomucen Salwator Marya Józef Babtysta Ferdynand Baltazar Ludwik Gonzaga Piotr Aleksander Antoniusz Zenobiusz?..

Stwosz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Cesarz niemiecki, ugoszczony przez sułtana kosztem miliona franków, opuścił Konstantynopol. Pomiędzy gazetami wywiązała się sprzeczka o to, czy jego podróż ma znaczenie polityczne, czy też etykietalne i turystyczne. Telegramy, które Wilhelm II posyła do swego kanclerza a w których wyraża tylko zachwyty nad pięknością widoków, nie tyle przekonywają, ile służą gazetom gadzinowym za pozór do przekonywania świata o niewinnych celach tej wycieczki. Może by ich rozumowanie komuś głowę istotnie zamąciło, gdyby monarsze nie towarzyszył hr. Herbert Bismark, którego trudno uznać za niewinny dodatek do świty, ażeby cesarz miał z kim dzielić się swemi wrażeniami. Zresztą czy podobna przypuścić, ażeby kanclerz nie dał swemu panu jakiejś misyi politycznej i nie zalecił mu wyzyskanie tak rzadkiej a tak dogodnej sposobności.

Sejm niemiecki rozpoczął obrady nad ustawą przeciwko socyalistom. Ponieważ postępowcy i ultramontanie nie godzą się na utrwalenie jej wieczyste, więc los jej zależy od narodowo-liberałów. Ich dzienniki w dość znacznej większości zajęły stanowisko opozycyjne, ale ponieważ stronnictwo to podlega komendzie swych przywódców, którzy nieraz dopiero w ostatniej chwili dają mu hasło, więc kwestya wisiała w wątpliwości. Nareszcie Bennigsen, naczelny hetman tej zbieraniny bez samodzielnego zdania, oświadczył, że będzie posłusznym rządowi. Skutkiem tego zatwierdzenie ustawy jest pewnem.

Hr. Kalnoky odbył doroczną pielgrzymkę do swej Mekki — do Friedrichsruhe. Czy tym razem nie odbierze on od Mahometa jakichś donioślejszych zleceń — tylko zgadywać można.

Książe Koburski powrócił do Sofii podobno z pierścionkiem zaręczynowym. Ma on poślubić siostrzenicę sesarzowej Elżbiety. Gdyby Franciszek Józef zezwolił na to małżeństwo, uznałby niejako Koburga na tronie bułgarskim, a tem samem wprowadził do polityki wypadek rozdrażniający i w niebezpieczne skutki płodny. Byłoby to poniekąd rzuceniem rękawicy, na którą cesarz austryacki odważyłby się tylko wtedy, gdyby był zdecydowany na krok bardzo stanowczy.

Dwa kawały Afryki zostały znowu odłamane i przyłączone do łupów europejskich: anglicy na południu owładnęli wielkim obszarem za pomocą kampanii z zięciem królowej na czele, a Niemcy ogłosiły swój protektorat nad płatem północno-wschodnim. Podobno przeciw temu ostatniemu nabytkowi rząd angielski założył protest. Byłby to najmniejszy kłopot dla niemców. Ważniejszym dla nich jest inny, mianowicie, że — jak przekonywają świeżo ogłoszone sprawozdania w „Księdze białej“ — Wisman namordował dosyć murzynów i napalił ich wiosek, ale trwałych zdobyczy nie pozyskał. Co mogły zrobić pruskie karabiny i pruski kapitan — to sumiennie zrobiono, ale to nie wystarcza w Afryce. Jednocześnie przybyła do Europy wieść, że dr. Peters, który dowodził inną wyprawą niemiecką, został zabity. Ciężką będzie miał sprawę rząd w wyjednaniu od sejmu zasiłków na dalsze przedsięwzięcia w tym kierunku. Chociaż z drugiej strony — od czegoż są narodowo-liberalni!

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZE ŚWIATA

V.

Król portugalski Ludwik nie żyje! Król agronom i (nieczytany) tłomacz Shakespeare'a nie mógł inaczej przypomnieć się światu, jak pluśnięciem w fale wieczności: obejrzano się w stronę plusku. Tymczasem fala zadrgała lekko, przyjęła trupa równie lekko, zamknęła się za nim i wyrównała już; nic się nie zmieniło, tylko Almanach gotajski przedrukuje w nowem wydaniu kilka wierszy, a stała operetkowa figura „portugalskiego króla“ będzie odtąd kamieniem obrazy nie dla Ludwika już, lecz Karlosa, dziedzicznego spadkobiercy wszystkich nadz tronu.

Nowy król nazywa się: Karol, Ferdynand, Ludwik, Marya, Wiktor, Michał, Rafael, Gabryel, Gonzaga, Ksawery, Franciszek z Assyżu, Józef, Szymon — z domu Braganza, Bourbon, Sabaudya, Sachsen-Koburg-Gotha, władca Portugalii, Algarabii itd. itd.

Z takim ogonem imion chcieć przesmyknąć się przez sito przyszłych dziejów, które będą przepuszczać tylko imiona zamykające sobą treść i idee całych stuleci! O nieostrożny! Toż chłopiec w szkole raczej wyrzeknie się ciebie, niż spamięta.

Jeżeli jednak młody król, przedstawiający dla Europy właśnie taką powagę, jaką dla nianiek swych przedstawia jego dostojny sąsiad Alfons XIII, nie zdobędzie Indyj wschodnich, ani obudzi Camoensa, może przecież przejść do potomności przez pamięć swej małżonki, Amelii z Orleanów, posiadającej najpiękniejsze, jakie opiewano — ręce i uszy i zajeżdżającej konie jak Walkyra. Obaczymy, o ile wpłynie to na losy Luzytanii.

Wystawa paryska się zamyka, a sługa wasz wyznaje ze wstydem, że jej nie oglądał. Tak jest; bałem się, aby przy powitaniu lub pożegnaniu stolicy świata nie zleciał mi z warg ten klasyczny okrzyk Edmonda Goncourta w Germinie Lacerteaux:

„O Paris, sacrée cochonne de ville!“

Przestałem — darujcie — kochać miasto zamienione w jedną wielką, bezwstydną oberżę, miasto, gdzie sam Pan Bóg mieszka w hotelu *).

Nie wabiły mię najmodniejsze na Plaza de Toros szpady: Mazzantini, Frascullo, Lagartijo, których widziałem, kiedy byli jeszcze dumnymi rycerzami, a nie karnawałowymi skoczkami, chorującymi na manię wielkości. Popsuły ich francuskie panie, zachwycone mężczyznami, niebojącymi się rogów: śród paryżan bowiem zostało takich niewielu.

Nie mógłbym patrzeć bez wstrętu na wprzęgających się do wózka tonkińczyków i wożących po chodniku płoche damy, gotowe z ciekawości i kaprysu zaprosić następnie swoje pociągowe bydlę na kolacyę z szampanem w piżmowej atmosferze buduaru, a rano wyszczuć je psami.

Ani egipcyanki tańczące *danse de ventre*, ani skuleni w chłodzie senegalczycy nie byli pokarmem dla moich estetycznych pragnień, a jeżeli ta wielka suma cywilizacyjnych zdobyczy, jaka zgromadziła się w marmurowych i żelaznych pałacach, posiadała z pewnością czar, mogący pociągnąć w tę otchłań, to odstręczał brzydki widok francuza, natrząsającego się z moich zachwytów.

Choć znalazłaby się niejedna okazya wyszydzenia jego własnych podziwów i upojeń: ta wystawa kobiecych typów całego świata i ten wpływ różnych specyficznych

*) Hôtel Dieu — szpital.

Rozpięła futro, zrzuciła kapturek i położyła się, zamykając ociężałe, senne powieki.

Koło południa rozbudził ją jakiś hałas.

Gruby, męzki głos wymówił jej imię i nazwisko.

Odpowiedziano, że niema tu takiej pani i wskazano właściwy adres.

Krew uderzyła jej do głowy. Wyszła za posłańcem do sieni i drżącą ręką wzięła od niego list, który całowała i pieściła przed przeczytaniem...

„Zanadto przyjęłaś do serca nierozważne moje słowa. Żałuję ich dziś i, prawdopodobnie, żałować będę długo. Stało się jednak. Dałaś dowód braku przywiązania, wychodząc z domu naszego sama, po nocy, bez bliższego porozumienia się ze mną, nie zachęciwszy mnie niczem do cofnięcia tego, co powiedziałem. Uważam nas obecnie za rozłączonych na zawsze. Mówiłem ci niejednokrotnie, jak bardzo brzydzę się wszelkim skandalem. Za taki uważam wczorajszą twoją ucieczkę. Ludzie pokazywaliby nas palcami, zobaczywszy ciebie i mnie razem po tem, co zaszło. Chcąc ci ułatwić pozostanie w mieście, które lubisz, od dziś robię starania w celu przeniesienia się na prowincyę. Bądź zdrowa. Nie omieszkam być ci nadal pomocnym materyalnie...“

Po pięciu latach słowa listu huczały w jej głowie, jak gdyby je przeczytała dopiero wczoraj! Rozbijały się pod czaszką, jak gromada nietoperzy, mrocząc każdy lepszy, jaśniejszy obraz pamięci!

Podniosła się z krzesła i po ciemku, na palcach, nie chcąc zbudzić Matyldy, doszła do klęcznika.

„Boże, wybaw mię od pokusy moich wspomnień“ — szeptała półgłosem, podnosząc w górę skrzyżowane ręce. „Boże, daj mi siłę do pracy i trochę tego spokoju, o który walczę na próżno... Boże, zlituj się nade mną i usuń jego obraz z mej duszy!..“

— Nie — jęknęło coś w głębi jej serca...

Wstała z klęcznika. Nie umie się modlić. Na dnie piersi powstaje zawsze głuchy bunt przeciw wszystkiemu, co mówią usta...

Szary, zimowy ranek zaglądał przez szyby okien, kiedy, zmęczona, w ubraniu, zasnęła na łóżku.

Piersi jej rozrywały ciężkie westchnienia. Leżała na boku z twarzą, schowaną w poduszki.

Matylda na palcach krzątała się po pokoju, wykończając za nią robotę, którą miała oddać w południe.

Cecylia Walewska.

woni białego, czarnego i żółtego ciała wywołały z oszołomionych głów literaturę, nad którą, kto ma mocne nerwy, może wesoło parsknąć śmiechem. Catulle Mendes, apostoł haszyszowych ekstaz, wydaje cztery ilustrowane tomy pod tytułem: *Les belles du monde.* Pierwszy zawrze cyganki, drugi javaneski, trzeci egipcyanki, czwarty syngalezki. Kogo jeszcze nie nauczył kochać florencki profesor Mantegazza, sławny autor *Fizyologii miłości* i kilkunastu innych tomów podobnej treści, który, nawiasem mówiąc, choć tak przystojny i dostojny, swem ustawicznem wykładaniem tegoż tematu przypomina mi orangutany w klatce, uczącego, co jest miłość — przechodzące panienki, tego wtajemniczy Catulle Mendes we wszystkie sekrety afrykańskiej i australskiej zmysłowości.

Dokąd ten naród imponować nam będzie literaturą i sztuką? Ani jego naturalistyczny i psychologiczny romans, pastylki nasycone afrodyzyakami: Zola i Bourget nie ostają się wobec Dostojewskiego i Turgeniewa, ani ich dramat, nudna kombinacya treści wobec społecznych zagadnień Ibsena, ani dzisiejsza muzyka, parodyjąca egzotyczną prostotę chińszczyzny wobec eposów Wagnera.

Na pociechę rzec można, że urok powoli się gubi, odkąd francuscy pisarze wychylili swe słabe strony pod najstraszniejszą broń— śmieszność. Wiadomo, że francuz póty jest wielkim, póki stoi na gruncie własnego języka i kultury: niechno tylko zechce naśladować lub tłomaczyć obce, w tej chwili ciasnota jego pojęć zdradza się nieporadnością i dziecinnymi sądy. Otóż epoka samodzielnej twórczości we Francyi już mija: słowiańskie, germańskie, ba—semickie i mongolskie pierwiastki zaczynają napływać na wyjałowiony grunt; francuz chce je zrozumieć, aby opanować — lecz nie zupełnie mu się udaje (najlepiej jeszcze z japońszczyzną, którą wprowadził w modę Pierre Lotti swoją *Madame Chrysanthème*).

Znacie *Rodzinę Daniszewów* Dumasa, gdzie sielankowy chłop śpiewa z żoną duet przy fortepianie; znacie *Mignon* Thomasa, który wychodzi za niemca; znacie *Carmen* Bizeta, o której swego czasu madryckie dzienniki pisały: „Ani ci hiszpanie hiszpanami, ani ci cyganie cyganami, ani ci *toreros* torerami, ani matka, która ich wszystkich porodziła — nie nasza." Znacie sądy Wiktora Hugo o Shakespearze i wiecie, że do dziś dnia wyrzuca się na francuskich scenach cudowną symboliczną scenę walki Hamleta z Laertesem w grobie Ofelii.

Zachciał teraz kompozytor wielkiej sławy, Benjamin Godard, spróbować się na Dancie i wystawia pod tym tytułem operę komiczną. Warto obaczyć, jak się do takich tematów piszą libretta.

Akt I. Plac we Florencyi (autorowi wszystko jedno, który). Gwelfowie i Ghibellini. Wybór Gonfaloniera rzeczypospolitej: wybór pada na Danta.

Akt II. Sala w pałacu della Signoria. Zakochany Dante znajduje rywala w jakimś Bardim. Beatrice, aby ocalić kochanka zdradzonego przez stronników, idzie dobrowolnie do klasztoru. Francuzi, którzy we Florencyi rej wodzą, skazują Danta na wygnanie.

Akt III. W polu grób ocieniony kępą laurów i cyprysów. Przy podniesieniu zasłony tańce chłopców i dziewcząt. (W dzisiejszej operze balet jest nieunikniony, chociażby akcya odbywała się w podziemiach Londynu). Wchodzi Dante w historycznym swoim stroju; wzywa Wirgilego, który też podnosi się z grobu z wieńcem na głowie i białej tunice. Dante zasypia i ma widzenie Piekła z Ugolinem, Franceską itd.; następnie Nieba i wszystkich jego świetności.

Akt IV. Dante się budzi. Bardi zjawia się i prosi o przebaczenie, przyrzekając odkryć miejsce pobytu Beatryczy. Zmiana dekoracyi. Ogród w klasztorze pod Neapolem, Beatrice umierająca pragnie obaczyć Danta, który też jest zaraz pod ręką. Beatrice umiera.

Takiem banalnem wprowadzeniem na scenę tematu, którego dotąd nikt dotknąć nie śmiał, włosi słusznie są oburzeni, a mnie po raz setny korci nieodgadnione pytanie: Jak może kompozytor, pracujący nad swem dziełem lat wiele, zgodzić się na libretto, którego pomysł kilka dni kosztował, libretto o głupim i nielogicznym temacie, o pospolitych i nieplastycznych figurach, przemawiających zazwyczaj językiem przekupniów? Ze wszystkich oper na świecie godna swej muzyki jest podobno tylko jedna figura — Don Juana.

Egrot.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE.

Współdzielcze apteki ludowe w Belgii. Ciekawy objaw samopomocy ekonomiczno-współdzielczej przedstawiają dzieje aptek ludowych w Belgii. W kraju tym, wśród ludności pracującej, istnieje mnóstwo stowarzyszeń wzajemnej pomocy, udzielających chorym członkom między innemi rady lekarskiej i środków leczniczych. Wydatki, zwłaszcza na lekarstwa, dosięgały bardzo znacznych rozmiarów wobec znanego wyzysku ze strony aptekarzy; doszło nawet do tego, że koszta te postawiły kilka stowarzyszeń brukselskich wzajemnej pomocy u progu bankructwa. Napróżno usiłowano wejść w określone a dogodniejsze stosunki z jakąś firmą. Wtedy przyszła do głowy myśl założenia własnej apteki. Wybrano ku temu formę współdzielczą, gdyż, jak głosi sprawozdanie z kreślonego ruchu, jest ona najodpowiedniejszą dla interesów i dążeń warstwy robotniczej. Postanowiono wypuścić trzyfrankowe (nieco więcej niż rublowe) akcye, do których miał jedynie prawo oraz był zobowiązany każdy członek stowarzyszeń wzajemnej pomocy, co przystąpiły do związku. Zyski, gdyby okazały się z czasem, zgodzono się dzielić w sposób następujący: Kapitał akcyjny otrzymuje przedewszystkiem 4% procentów; reszta w jednej połowie jest obracana na rozszerzenie związku aptekarskiego i spłatę występujących członków, drugą zaś dostają przy końcu roku członkowie, stosownie do wartości zakupionych leków. Jako założyciele wystąpiło 35 stowarzyszeń robotniczych wzajemnej pomocy w Brukseli; związek otrzymał nazwę „Société coopérative des Pharmacies populaires de Bruxella." Rozpoczął on swą działalność z dniem pierwszym 1882 r. i z sumą około 6,000 fr., które zebrał z opłaty akcyj od członków. Założył apteczki wtedy w dwóch okolicach stolicy. Wydawanie dobrych a tanich lekarstw odrazu sprowadziło licznych nabywców i pozwoliło rozszerzyć rozmiary. Już w 1885 r. liczba aptek doszła do 6; wiosną zaś 1887 r. musiano otworzyć olbrzymi skład centralny, w którym obecnie znajduje się towaru za 30,000 franków. Liczba stowarzyszeń związkowych wzrosła do 75. Rozmiary klienteli dochodzą do 30,000 głów. Kiedy suma, na którą sprzedano lekarstw w r. 1882, wynosiła wszystkiego około 33 tysięcy franków (w tej liczbie 22 tysiące od nabywców pozazwiązkowych), w r. 1888 dobiegła 170 tys. (125 tysięcy od klientów pozazwiązkowych)! Czyste zyski, otrzymane od chwili założenia związku aż do dnia 1 stycznia 1888 r., wynoszą 125,000 franków. I wszystko poczęło się od skromnej kwoty niecałych sześciu tysięcy franków! Przykład ten zachęcił stowarzyszenia robotnicze w innych miastach Belgii do naśladowania wzoru, danego przez Brukselę. Od r. 1885, tj. kiedy otrzymane rezultaty doszły do szerszej wiadomości, podobne związki apteczne powstały w 6 miejscowościach: w Gandawie (6 aptek), Verniers, Anvers, Liege (3 apteki), Mons i Jolimont i wszędzie, z wyjątkiem przedostatniej miejscowości, rozwijają się pomyślnie, rugując zwykłe prywatne apteki, względem których posiadają tę wielką wyższość, że nie chodzi o zyski, lecz o dobroć i taniość. Zresztą sprawa ta ma i przeciwników, którzy stawiają słuszny zarzut, że ponieważ raz wkroczono na drogę niezbiegania się za zyskami, dla czego wtedy nie przypuścić i pozazwiązkowych nabywców do udziału w zyskach stosownie do ilości zakupionych lekarstw. Urządzenie to prawdopodobnie wkrótce pocznie się też szerzyć we Francyi, przynajmniej wśród kół robotniczych wzajemnej pomocy liczy już ono wielu zwolenników.

Związek Agassisa dla samouctwa przyrodniczego. Stany Zjednoczone są krajem śmiałych ludzi i olbrzymich pomysłów. Czy weźmiemy „mamutowe fermy" z Dalekiego Zachodu, w uprawie których siła parowa odgrywa pierwszą rolę, czy fabryki wynalazków w rodzaju Edisonowej, czy wreszcie zwrócimy się w dziedzinę wiedzy, aby przyjrzeć się instytucyom prywatnym naukowym w rodzaju „Museum Seabody," wszędzie uderza w oczy ogrom środków i szerokość zamiarów. Obecnie przedstawiamy jedną z oryginalności amerykańskich: związek Agassiza dla samouctwa przyrodniczego (the Agassiz Association). Początek on od skromnego stowarzyszenia przyrodniczego w pewnej miejscowości stanu Massachusets w r. 1875 i wychylił się po za te rozmiary dopiero w r. 1880. Polega on na łączeniu w jedną całość mnóstwa kółek przyrodniczych, rozrzuconych obecnie we wszystkich prawie stanach i terytoryach Związku północnego, a nawet w Kanadzie, Chili, Japonii, Anglii, Szkocyi, Irlandyi i Francyi. W teraźniejszej swojej postaci liczy przeszło 10 tysięcy członków w wieku od lat 4 do 84. Oddzielne kółka zawierają rozmaitą liczbę osób, od 4 do 120, a znajdują się więcej, niż w 1,200 miejscowościach. Już dane powyższe wystarczają dla oceny rozmiarów tego ruchu samokształcenia przyrodniczego. O jego znaczeniu poweźmiemy jeszcze dokładniejsze wyobrażenie, zważywszy, że przy niektórych kółkach istnieją ładne biblioteczki, dobrze urządzone pracownie przyrodnicze, wreszcie zbiory miejscowej fauny, flory i okazów mineralnych. Pojedyncze ogniwa związku, t. z. kółka („chapters"), są najrozmaitszej postaci. Są to już połączenia malców ze szkoły elementarnej aż do słuchaczów uniwersytetu, złożone z przedstawicieli jednej lub obu płci; to znowu kółka ludzi dojrzałych również najrozmaitszego składu; wreszcie rodzinne, złożone z dziada aż do wnuków czteroletnich... Środkowy zarząd związku przez nauczycieli usiłuje zwłaszcza wyzyskać tak częsty u dziatwy szkolnej popęd do zbierania rozmaitych okazów, lecz w sposób, aby gromadzenie nie przeszło czasami w bezmyślną manię, lecz było źródłem rozpraw i ogólnego filozoficzno-przyrodniczego kształcenia. Zasadą jest, iż przyrodę trzeba badać w jej naturalnej książce i zapomnieć, że istnieją inne drukowane, które tylko o tyle uwzględnić należy, ile tego wymaga rzetelne zrozumienie życia organicznego. Przez przyrodę żywą do książek o niej — hasło to jest podstawą działalności. Każde kółko w swem życiu wewnętrznem jest zupełnie samodzielne; związek jedynie żąda sprawozdania i opłaty 50 centów rocznie dla wydawania pisma. Zarząd jest pośrednikiem pomiędzy kółkami, pomocnikiem w wyszukiwaniu dróg badania, dostarczycielem wskazówek. Tak np. około 50 badaczy ofiarowało swoją pomoc; botanika wśród nich liczy 7, chemia 6, konchologia 6, entomologia 5, geologia i mikroskopia po 4, mineralogia 5, ornitologia i zoologia 5 i t. d. przedstawicieli. Malec, który żyje w najodleglejszej i najmniejszej wiosce, może w każdej chwili zwrócić się z odpowiedniem zapytaniem lub okazem do któregoś z tych

ludzi, dowiedzieć się o nazwie i historyi przedmiotu, a raczej otrzymać wskazówki, jak można samemu ją zbadać. Mamy właśnie przed sobą egzemplarz siedmio-tysięczny podręcznika wydanego przez związek: *Three kingdoms*. Znajdujemy tutaj wskazówki, jak należy organizować kółka, drobiazgowe ustawy i rady praktyczne co do prowadzenia rozpraw, wyboru urzędników, układu sprawozdań szczegółowych i rocznych; ogólny plan zajęć; rady, jak urządzić niewielkie muzeum i pracownię; zbierać i suszyć rośliny, gromadzić jestestwa wodne, zbierać i zachowywać owady lub jajka ptaków albo okazy mineralogiczne, co robić w mieście lub w różnych porach roku. Nawet są rady, co robić, aby kółko nie rozpadło się. Podaną jest bibliografia lepszych książek o przyrodzie, od najpopularniejszych aż do podręczników i dzieł podstawowych. Zajmuje ona do 26 stronic drobnego druku, przyczem podano są ceny i odezwy wydawców najtańszych. Dalej idą adresy badaczów, którzy w danej kwestyi zobowiązali się dostarczać wskazówek. W broszurze tej podano także kilka okazów korespondencyi. Trudno powstrzymać się od przytoczenia niektórych listów, nader charakterystycznych dla działalności związku. „Mam lat dziewięć, siostra moja pięć. Badaliśmy pewnego robaczka *); jest to prześliczny owad. Ciało jego jest zielone, nóżki w liczbie sześciu wyglądają jak czysty kryształ. Wąsy dłuższe od owadu, czasami zarzucone w tył. Tułów ma przy końcu dwa rożki. Oczy czerwonawo-brunatne“—podpisano: sekretarka Anyré Latimer. Albo inny list. „Jesteśmy uczenicami z kolegium w Waco (Texas). Od czterech lat nauczyciel zaczął w nas wzbudzać miłość ku przyrodzie i brał nas do lasu... Doszłyśmy do zbiorku okazów i postanowiłyśmy założyć kółko przyrodnicze. Jest nas 26. Byłyśmy w stanie kupić dobry mikroskop, kilka książek i rycin. Posiadamy książkę, w której bibliotekarka zapisuje artykuły i rysunki, co tydzień żądane przez kogoś z członków; inną, gdzie sekretarka zapisuje odczyty miewane... Prezydentka zachęca każdego członka do postawienia trzech pytań, na które odpowiedź zostaje udzieloną na następnem zebraniu“ itd. (w końcu idzie wyliczenie okazów do wymiany). Kółko z New-Brunświku donosi, że posiada przeszło 200 członków i zorganizowało się na wzór instytucyi: „American Association for the Advancement of Science,“ z oddziałami dla mikroskopii, botaniki, fotografii, zoologii, astronomii, filozofii naturalnej, gelogii, meteorologii. Skądinąd znowu nauczyciel pisze: „Przed pół rokiem w związku z moją szkółką powstało kółko. Powiodło się nam dobrze zarówno co do liczby uczestników, jak zbiorów. Jest nas 33 i mamy nadzieję, że będzie więcej. Chłopcy w liczbie 20 zebrali 500 okazów: kopalnych i owadów. Dziewczęta namiętnie wzięły się do gromadzenia liści, korzonków i nasion i kiedy przynoszą zajmujemy się klasyfikacyą. Cała sąsiednia okolica została poruszona przez entuzyazm chłopców i dziewcząt. Wszystko to odbywa się po za godzinami szkolnemi. Główny inspektor szkolny hrabstwa tak jest zachwycony, że upoważnił mnie świeżo do wniesienia sprawy przed inspekcyę liczącą 600 nauczycieli. Rzecz rozszerza się niewątpliwie w hrabstwie.“

Oddzielne kółka wiążą się w szersze organizacye; czasami jak w Jowie, Masachusets, New-Jersey, obejmuje cały stan; gdzieindziej — miasto np. w Filadelfii, Bostonie, Broklynie, Chicago, New-Yorku. Od roku 1887 związek wydaje swój organ *The Swiss Cross*, będący pośrednikiem w wymianie okazów, poruszaniu spraw techniki, oraz pomieszcza sprawozdania. Marzy nawet o własnych laboratoryach, profesorach, wykładach. Dzisiaj wśród 10,000 członków zaledwie jedna czwarta jest starszą nad lat 20. Niektórzy z dorosłych zajęli się stale przyrodą wskutek upływów młodości, spędzonej w kółku odpowiedniem. Siła więc związku spoczywa na dziewicach. Czem on będzie, gdy one wyrosną? Prawdopodobnie nie rzucą tradycyi obecnej i dostarczą związkowi oporę potężną, o której trudno mieć dziś wyobrażenie.

*) Nazwa angielska geranium-bug, której na razie nie znjdujemy w słowniku.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Znaczenie strefowej taryfy węgierskiej.

Węgry wprowadzeniem u siebie nowej taryfy osobowej przygotowują przewrót w dotychczasowym systemacie opłat przewozowych w całej Europie. Inaczej być nie może. Dość rzucić okiem na kartę kolejową Europy, na tę olbrzymią sieć tętnic i żył komunikacyjnych, któremi ruch handlowo-podróżniczy swoje fale toczy, żeby zmiany poczynione gdziekolwiek, w jednym ze splotów tej sieci, nie spowodowały współrzędnych na całym jej obszarze. Posłuchajmy, jak ten proces rozwojowy, mający się odbyć w niedalekiej przyszłości, opisuje w artykule „Zug nach Osten“ Edward Engel, powaga w kolejoznawstwie i twórca taryfy strefowej. Polega ona na tem, że całą długość linij kolei węgierskich, tak państwowych, jak prywatnych, podzielono na 13 stref (w stosunku do środka głównego—Buda-Pesztu) i opłatę od przejazdu uczyniono zależną od ilości kilometrów ryczałtowo objętych daną strefą, oraz od szybkości ruchu, czyli od dwóch zasad bardziej zgodnych z logiką. Oto krótka tabliczka cen biletów jazdy (w guldenach austr.):

	Dla pociąg. posp.			Dla pociąg. osobow.		
Strefy	kl. I	kl. II	kl. III	kl. I	kl. II	kl. III
I	0,60	0,50	0,30	0,50	0,40	0,25
II	1,20	1,00	0,60	1,00	0,80	0,50
III	1,80	1,50	0,90	1,50	1,20	0,75
IV	2,40	2,00	1,20	2,00	1,60	1,00
..	..	..	..	..	..	..
XII	7,20	6,00	3,60	6,00	4,80	3,00
XII	8,40	6,50	4,20	7,00	5,30	3,50

O ile te ceny wygodniejsze są od pobieranych według starej modły, od osobo-kilometra, ujawni pobieżne choćby zestawienie. Strefa I zawiera w sobie odległości niejednakowe: stacye (na linii Buda-Peszt-Arad-Tövis) Kőbenya 5 kilom., Sülg-Sap 30 kilom., Soroksar 17 kilom. i Haraszki 23 kilom.; na linii Buda-Peszt-Zemlin-Belgrad — do nich wszystkich zajechać można obecnie za 25 krajcarów najtaniej, gdy tymczasem dawniej następujące kwoty musiały figurować względnie na biletach jazdy: 0,20, 0,50, 0,70, 1,20! Cóż dopiero mówić o większych przestrzeniach, wobec których, przy dawnym systemacie, jednostka kosztów jazdy z każdym kilometrem podlegała nieustannemu pomnażaniu i dawała coraz większy iloczyn.

Oddziaływanie Węgier przez taryfę strefową na ościenny ruch podróżniczy nie ulega wątpliwości. Przedewszystkiem ruch ten, powstający szczególnie w celach rozrywki i wypoczynku w porze letniej, skieruje się od środkowej i zachodniej Europy ku wschodowi. Węgry pociągają ku sobie turystów w rozmaity sposób: wycieczka w Karpaty, do Buda-Pesztu, dolnego Dunaju, do Serbii, Rumunii, Siedmiogrodu, Bułgaryi, słowem do miejscowości, od których stara taryfa odstraszała setki tysięcy ludzi. Ta sama przyczyna może skłonić niejednego turystę do zastąpienia zwyczajowej wycieczki w Alpy tyrolskie i szwajcarskie podróżą w Karpaty. Za 5,80 złr., po przestąpieniu granicy pruskiej w Bogumինie (Oderbergu) można będzie nadal dojechać w drugiej klasie aż do krańców Turcyi. Jest nad czem się zastanowić. Rumunia i Serbia dla Wrocławia np. staną się wkrótce ekonomicznie bliższymi punktami, aniżeli Turyngia, z Berlina do Kronsztadtu w Siedmiogrodzie wypadnie taniej, niż do Strasburga i Bazylei. Nadto podróż do słynnego zakładu leczniczego w Abazii (nad Adryatykiem) będzie dla wschodnich Niemiec nierównie tańszą i milszą via Peszt i Fiume (Rjeka), również i Tryest w przyszłości stanie się tańszym punktem dla Pesztu, niż dla Wiednia i Dalmacya ekonomicznie należeć będzie do bliższych miejscowości, aniżeli Norderney. Niebezpieczeństwo dla koronnych krajów Austryi z tej względnej taniości jazdy jest oczywiste. Innego wyjścia niema, jak dążenie w ślady Węgier. To też godne uwagi, że południowo - austryackie drogi uznały już konieczność wprowadzenia u siebie taryfy strefowej i wyczekują tylko, aż ona w Węgrzech dostatecznie usprawiedliwi swój byt. Skoro to nastąpi, cały węgiersko-galicyjski ruch podróżniczy z daleko sięgającem rozgałęzieniem we wschodnich Niemczech i południowo-wschodniej Rosyi spokojnie popłynie tańszą drogą Zagrzeb-Fiume. A niedawno jeszcze kiwano w Niemczech i Austryi niedowierzająco głowami i pytano, co małe Węgry mogą wskórać? Zachowawczość wobec groźnego współzawodnictwa najwięcej może dotknąć interesy południowo-niemieckich kolei, a mianowicie bawarskich. Niemcy więc, pod warunkiem utraty największej części ruchu przejazdowego, będą musiały pójść w ślady Austro-Węgier i przyłączyć się do taryfy strefowej. Tak wróży kolejom środkowej Europy Engel. Pocieszmy się, że koła rozwojowe, zataczając się i rozchodząc coraz dalej po europejskim obszarze monopolu kolejowego, ogarną i nas z czasem. Wtedy nasza Terespolska, Nawiślańska, Wiedeńska i t. p. pod naciskiem konieczności nie będą mogły ćwiczyć się w wspaniałomyślności, stracą sposobność objawiania tego szlachetnego uczucia w postaci biletów świątecznych jednodniowych, spacerowych, odpustowych... A może za taniością jazdy pójdzie wślad cały szereg innych udogodnień, mianowicie: zniesienie potwornego zwyczaju posługiwania się pasażerem, który opłacił koszt przejazdu, jako pomocnikiem kontroli dochodu Towarzystwa kolejowego, co musi uskuteczniać ustawicznem okazywaniem biletu, chociaż nic wspólnego nie łączy go z domniemanym podróżnikiem szwarcującym siebie. Może z czasem człowiek jadący setki wiorst będzie mógł podróżować za swoją krwawicę w postawie leżącej, nie zaś tłukąc nieszczęsną głową przez długą noc o twardą ścianę, bezustannie popychany, budzony i po odbytej podróży przestanie doznawać uczucia przykrego znękania! *).

*) Po napisaniu artykułu dowiadujemy się o dwóch ważnych faktach, dotyczących dalszego losu taryfy strefowej. Ruch na kolejach węgierskich tak się wzmógł, że fabryki austryackie przeciążone są zamówieniami na nowe wagony, łącznie też z tem dochody dróg podskoczyły w górę. Nadto Galicya ujawnia chęć pójścia w ślady Węgier. Uchwałę Izby handlowej w Krakowie, żądającą zaprowadzenia taryfy strefowej na kolejach państwowych galicyjskich koła przemysłowo-kupieckie powitały życzliwie; a nato przedstawiciele owej izby, uczestniczący w radzie kolejowej w Wiednlu, pragnienia swoje — idące dalej, bo aż do dróg *prywatnych* — mają wkrótce przedstawić rządowi. Tak więc przewidziany przez Engla ruch w kierunku wskazanym przez madziarów zaczyna się sprawdzać i niejedno ogarnięte przezeń terytoryum wypadnie w przyszłości zanotować. *Przyp. aut.*

Zyg. Piet.

BADANIA NAUKOWE.

TEORYA KRYMINALNA LOMBROSA.

I. *Zbrodniarz przypadkowy.*

Przed dwoma laty zdawaliśmy w *Prawdzie* sprawę z teoryi Cezara Lombrosa o zbrodnictwie. Uczyniliśmy to z powodu ukazania się *Człowieka zbrodniarza* w przekładzie francuskim. Od tego czasu i dzięki właśnie wyjściu francuskiego tłomaczenia teorya ta uległa silnym zarzutom, które doszły do tego, że zupełnie odrzuciły istnienie jakiegoś szczególnego typu zbrodniczego, a nawet posunęły się dalej, bo aż do twierdzenia, że cała antropologia kryminalna jest jednem wielkiem nieporozumieniem. Co najważniejsza, napaść między innemi wyszła od człowieka, posiadającego mnóstwo danych naukowych do krytyki, mianowicie od antropologa Topinarda. Spór toczył się początkowo w łamach paryskiego *Przeglądu antropologicznego* i włoskiego *Archiwum psychiatrycznego*. Wreszcie oba kierunki starły się ustnie, w sposób bardzo ostry i namiętny, na tegorocznym zjeździe antropologii kryminalnej w Paryżu. Łatwo zrozumieć ciekawość, z jaką wzięliśmy do ręki nowe wydanie *Człowieka zbrodniarza*. Naturalnie, nie spodziewaliśmy się, iżby w wykładzie zasadniczych punktów zaszły jakieś zmiany; głównie chodziło o odpowiedź na zarzuty. Zresztą złożyły się jeszcze inne przyczyny na to, abyśmy z pewną niecierpliwością przystąpili do książki uczonego włoskiego. Dzieło to w pierwotnej swojej postaci wyglądało niegdyś zupełnie odmiennie niż w ostatniem, nam znanem wydaniu. Autor początkowo rozpatrywał zbrodniarza, jako obłąkańca z pewnemi właściwościami atawistycznemi, przyczem zupełnie zaprzeczał, aby istniał jakiś przestępca przypadkowy, lub raczej zgoła nie domyślał się jeszcze, iżby mogły się znajdować inne postacie oprócz zasadniczej w ówczesnem jego rozumieniu. Pod wpływem jednak krytyk, które się posypały z powodu owej teoryi, oraz uzupełnień, jakich ona doznała ze strony różnych badaczów, Lombroso porzucał pierwotne stanowisko. Przedewszystkiem wydzielił on z początkowej jednolitej postaci zbrodniczej przestępcę z namiętności, oraz musiał przyznać, że i zbrodniarz obłąkaniec nie wyczerpuje jeszcze możliwych odmian świata zbrodniczego i raczej stanowi jedynie drobny ułamek w pośród innych typów. Została wypowiedzianą teorya „zbrodniarza urodzonego.“ Jak wiadomo, polega ona na twierdzeniu, że istnieje pewien typ indywidualny, posiadający szczególnie połączone właściwości fizyczne i duchowe i szukający w zbrodni wyładowania wrodzonych sobie chuci zbrodniczych a niedający podciągnąć się pod kategoryę zwykłych obłąkańców. Same te znamiona mogą kojarzyć się już ściślej i liczniej, to znowu ukazywać się pojedynczo. Jeżeli weźmiemy je wszystkie w spójnem połączeniu, taki typ zbrodniczy stanowiłby we Włoszech około 23% wśród zastępu przestępców. Reszta przypadłaby na zbrodniarzy-obłąkańców, z uniesienia, pod wpływem alkoholu. Nakoniec badacz włoski przypuścił istnienie zbrodniarza przypadkowego, który posuwa się złego czynu nie pod działaniem przyczyn organicznych, lecz wskutek warunków społecznych. Dzięki tym zmianom dzieło ciągle zwiększało się; wreszcie ostatnio wyszedł tylko tom pierwszy, poświęcony wyłącznie zbrodniarzowi urodzonemu, i właśnie przedstawiliśmy czytelnikom *Prawdy* zawarte w nim poglądy. Do drugiego odłożono niedotykane lub mało dotychczas uwzględniane przez Lombrosa postacie kryminalne, w tej liczbie przedewszystkiem zbrodnię przypadkową. W obecnem wydaniu ukazała się też i część wtóra *). W ten sposób otrzymujemy zupełnie zaokrąglony całokształt, którego dotychczas nie było. Przed nami przesuwa się cały świat przestępców. Jedni są napiętnowani szczególnem znamieniem zbrodniczem i kochają się w złem, dzięki odpowiedniemu ukształtowaniu swojej natury; drudzy posuwają się do występku wskutek obłąkania, idyotyzmu, pod parciem gwałtownej namiętności; wreszcie inni, nie przedstawiając stosownych znamion, znaleźli się w tem gronie tylko przez wyjątkowy splot okoliczności. Wreszcie antropolog rozszerza jeszcze bardziej szranki swojego badania. Jak istnieją typy nie-zbrodnicze śród przestępców, podobnie znajdują się postacie nawskróś zbrodnicze po za widownią kryminalistyczną. Lombroso obejmuje je nazwą „zbrodniarzów utajonych.“ Tu należą np. niektóre zawody, poniekąd protegowane, jak lichwa i nierząd, będące często wyładowaniem się nader organicznie zbrodniczych typów. Często znowu warunki społeczne umożliwiają naturze zbrodniczej bytowanie w sposób, niesprowadzający następstw karnych. W dziele roztrząsanem mamy kilka tego rodzaju wzorków, kiedy przytaczane osoby twierdzą o sobie, że napewno byłyby złodziejami, gdyby urodziły się w warstwie biednej. Wrodzone próżniactwo, to podścielisko, na którem wyrasta kradzież i nawet poważniejsze przestępstwa, doznaje u ludzi zamożnych zupełnego zaspokojenia, nie doprowadzając ich do starcia z kodeksem karnym. Czasami znów chucie zbrodnicze objawiają się w jakiejś szczególnej działalności. Znajdują one np. ujście w walce politycznej. Autor *Człowieka zbrodniarza* powołuje się w tej mierze na pracę znanego niegdyś działacza rewolucyjnego E. Gauthiera, świeżo wypuszczonego z więzienia. „Pomiędzy 50 przestępcami politycznymi, pochodzącymi z wielkomiejskiej klasy robotniczej a wziętymi jeśli już nie z pośród śmietanki, tedy z przeciętnej masy, można znaleźć przynajmniej jeden tuzin takich, którzy w więzieniu czują się jakby w swojem właściwem otoczeniu, zbliżają się ze zwykłymi zbrodniarzami przeciw prawu publicznemu i natychmiast od nich zapożyczają żargon, zwyczaje, zachowanie, aż do ujemnej moralności, zdziczenia, zepsucia, łajdactwa, chciwości i występków przeciw naturze.“ Jako typ zbrodniarza, który znalazł dla siebie wyładowanie w działalności politycznej, Lombroso między innymi przytacza Napoleona I. Człowiek ten, gdyby urodził się wcześniej, wyszedłby na zwykłego średniowiecznego condottiero lub bandytę. Wreszcie popęd zbrodniczy może zostać stłumiony wskutek oddania się pracy naukowej (jak np. u Comte'a). Słowem, w całokształcie swojej teoryi badacz włoski wychyla się po za szranki właściwe i wkracza na szersze pole, mianowicie różnych czynności społecznych, które są w stanie pochłaniać natury zbrodnicze, bez przeciwstawiania ich kodeksowi karnemu.

Jużeśmy wspomnieli, że jednem z wprowadzonych uzupełnień jest teorya zbrodniarza przypadkowego. Przyjrzyjmy się tej postaci. Weźmiemy dla przykładu Korsykę. Jest to kraina bezustannej zbrodni. Zemsta krwawa stanowi tu obowiązek; kto od niej uchyliłby się, zostałby raz na zawsze potępiony w opinii ogółu. O rozmiarach kłótni daje pojęcie fakt, że pies niejakiego Tafani, zabity przez Rocchiniego, pociągnął za sobą aż 11 ofiar ludzkich z pośród obu rodzin! W r. 1886 zdarzyło się na Korsyce 135 zamachów przeciw osobie, tj. jeden zamach przypadł na 200 mieszkańców (cztery razy częściej aniżeli w departamencie Sekwany). Wobec tego o zyskaniu świadków niepodobna często mówić; w jednej miejscowości około 60 osób widziało np. spełnianie zbrodni, lecz wszyscy zeznali pod przysięgą, że nic nie zdarzyło się! Solidarność rodowa uchodzi za najpierwszą cnotę, wobec niej winny zamilknąć wszystkie inne względy: dobro kraju, sprawiedliwość. Sądy przysięgłych są instytucyą stronną i troszczą się przedewszystkiem o ukaranie wroga rodzinnego lub ocalenie sprzymierzeńca. Wybory wszelkie są walką takich klik rodowych. W jednem miasteczku 1884 r. mer odkładał pod różnymi powodami trzy razy wybory miejskie: za czwartym razem stronnicy odpowiedniej kliki zebrali się wczesnym rankiem i zabarykadowali się w merostwie, aby nie dopuścić przeciwników. Ci ostatni, dowiedziawszy się, poszli do ataku z bronią w ręku... Oto jest codzienny obraz wewnętrzny wyspy. Widoczna, że przy takich okolicznościach popełnia się tutaj mnóstwo zabójstw i zbrodni, tymczasem gdy postać przestępcy zgoła nie jest typem zbrodniczym. Miejscowe stosunki pchają do przestępstw takie osoby, które w innych okolicznościach nigdyby nie posunęły się do tego. Są to właśnie zbrodniarze przypadkowi, stworzeni przez szczególną atmosferę uprzedzeń i nawyknień społecznych. Tutaj także należą zbrodniarze z nałogu. Jak hypnotyzowanemu można poddać wszelką ideę, da się uczynić to z wszelką jednostką, jeśli ją pomieścić w odpowiednio zepsutem otoczeniu. Dziecko, jak wiadomo, zbliża się do zbrodniarza swemi znamionami fizycznemi i właściwościami emocyonalnemi; należyte wychowanie zaciera w niem owe popędy anty-społeczne. Atoli usuńmy te wpływy dobroczynne i zastąpmy je przez inne natury ujemnej, a natychmiast otrzymamy zbrodniarza — z przyzwyczajenia i nałogu. Jest to znowu inny okaz zbrodni przypadkowej. Podobnie przedstawiają się tak zwane przestępstwa zawodowe, będące owocem uprawiania pewnego rzemiosła, jak np. częste w handlu matactwa i fałszowania co do wagi albo gatunku. Wreszcie tutaj należą zbrodniarze mimowolni, niektórzy polityczni, przemytnicy; przypadkowem też jest wzmożenie przestępstwa w takich okresach, jak sławna gorączka złota, spowodowana odkryciami w Kalifornii.

Zresztą są dowody, że Lombroso wprowadza dość niechętnie pojęcie zbrodni przypadkowej i usiłuje w możliwy sposób osłabić jej znaczenie i wpływy. Pod nawałem różnych faktów i świadectw przyznał on istnienie odpowiedniego typu i nawet powołuje się na doświadczenie ludowe w tej mierze, uwidocznione w przysłowiach, jak np.: potrzeba stwarza wojnę przeciw prawu, głód uczy zbrodni, kto handluje, ten oszukuje itd. Jednakże z góry zastrzega się, że jego zdaniem wpływ „przypadkowości“ (w powyżej użytem znaczeniu) jest niezmiernie drobny. Twierdzi np., że wśród 2000 badanych przezeń a już osądzonych przestępców znalazł tylko 43 przypadkowych i do tego w tej liczbie 19 przedstawiało pewne oznaki zwyrodnienia, 18 zaś było z chorobliwą dziedzicznością emocyonalną. W gruncie rzeczy trudno pojąć, co rozumie on pod nazwą zbrodniarza przypadkowego, nie daje bowiem nigdzie ściślego określenia tej kategoryi; zdaje się, że określa to pojęcie w zależności od tego, czy badana osoba posiada lub też nie cechy uznane za zbrodnicze. Wtedy liczba owych 43 stosowałaby się do ludzi, u których badania odpowiednio nie wykryły najmniejszego znamienia fizycznego i duchowego, podpadającego pod klasyfikacyę zbrodniczości. Byłoby to niezmierne zwężenie wpływów przypadkowości wraz z oparciem jej na nieudowodnionem jeszcze zbrodniczem znaczeniu cech fizycznych, przeciw czemu wymierzył swe zarzuty Topinard. Jeżeli zaś stosowne znamiona chociażby pojedyńczo i w rozproszeniu istniałyby, naówczas mielibyśmy typ już zbrodnioksztaltny (kryminoloidalny), który stałby w pośrodku jako ogniwo pomiędzy właściwym zbrodniarzem urodzonym i pseudo-złoczyńcą, to jest

*) *Delinquente epilettico, d'impeto, pazzo e criminaloide.*

człowiekiem, który doszedł do występku tylko dzięki warunkom wyjątkowym. Lombroso układa całą drabinę różnych charakterów osobniczych, aby wykazać, jak krok za krokiem typ „uczciwy" zamienia się w zbrodniczo-wrodzony. Badając wspomnianych 43 zbrodniarzy przypadkowych, znajduje, że najwięcej przypada w tem gronie na osądzonych za rany i uderzenia (33%), oszustów (około 25%) i wreszcie za kradzież (18%), tymczasem kiedy liczba zbójców wynosi zaledwie 7%. W ten sposób, kradzieże, drobne matactwa i oszustwa, uderzenia i poranienia byłyby w większym stopniu dziełem przestępcy przypadkowego, aniżeli zabójstwo, zgwałcenie i rozbój. Ten wniosek autor *Człowieka-zbrodniarza* usiłuje poprzeć całym szeregiem dowodów, co jest zrozumiałem wobec znaczenia tego faktu dla wysnuwanych przez Garofala i Ferri teoryj prawno-kryminalnych. Jeżeli znamiona typu zbrodniczego występują mniej obficie w jakimś „zawodzie" antyspołecznym, świadczy to, że skład osobowy tego ostatniego zależy więcej od warunków społecznych, mniej od organiczno-osobowych i że sama zbrodnia jest bardziej przypadkową, niż w jakimś innym razie. Spojrzmy na te poszukiwania. Kiedy tatuowanie spotykamy u 25% z pomiędzy zbrodniarzy krwawych (zabójców), tymczasem liczba ta u próżniaków i włóczęgów spada do 12%, u kieszonkowych złodziei do 10%, u domowych zaś do 8%, u oszustów do 4,8%. Podobne zjawisko daje się zauważyć i pod innymi względami. Weźmy chociażby osłabienie czułości w zmyśle dotyku. Wada ta, bardzo rzadka u osób „uczciwych," bo dochodząca u nich zaledwie 5%, a ranicieli i złodziei kieszonkowych podnosi się już do 10%, u oszustów do 11%, złodziei domowych do 12%, włóczęgów i grabicieli do 13%, u gwałcicieli — 19% i zabójców 25%. Albo zatrzymajmy się nad innem znamieniem — przyznawaniem się do winy wraz z szczegółową opowieścią o występku. Kiedy wśród urodzonych zabójców jedynie 26% opowiada o przebiegu popełnionej zbrodni, złodzieje kieszonkowi czynią to w 62%. Podobnie rozmieszczają się uzdolnienia umysłowe, zwyrodnienia newropatyczne itd. Ciekawe są badania włocha Marro nad religijnością różnych zbrodniarzy. Kiedy gwałciciele i zabójcy uczęszczają do kościoła w rozmiarach 57%, grabiciele— 45%, wówczas oszuści czynią to tylko w wysokości 23%, złodzieje kieszonkowi — 18%, włóczęgi — 33%. To może pochodzić stąd, że pierwsi są przeważnie mieszkańcami wsi, drudzy — miast. Porównywając tego rodzaju rozmieszczenie rozmaitych cech zwyrodnienia i zbrodniczości, nie trudno spostrzedz, że gwałciciele, grabiciele i zabójcy (wreszcie podpalacze) są bardziej obficie uposażeni cechami ujemnemi, inaczej, że wśród tych grup typ zbrodniarza urodzonego istnieje w daleko większym stosunku. Natomiast liczba przestępców przypadkowych wzrasta u złodziei, włóczęgów i osądzonych za pobicie i rany, największą zaś jest wśród oszustów. Te kategorye zbrodni znajdowałyby się zatem w największej zależności od warunków zewnętrznych i w najmniejszej od organicznego ukształtowania osądzonych. Byłyby głównem siedliskiem zbrodni przypadkowej.

Tak się przedstawia w zasadniczych zarysach teorya zbrodniarza przypadkowego oraz jego stosunek do innych kategoryj zbrodniczych: urodzonego, z namiętności, obłąkańca, alkoholika. Zresztą w przedstawieniu Lombrosa granice się wciąż zacierają i gmatwają — rzecz naturalna wobec złożoności i trudności przedmiotu z jednej, małej systematyczności autora z drugiej strony. Pozostaje nam jeszcze rozejrzeć się w zbrodniarzu-obłąkańcu i zbrodniarzu z uniesienia, co uczynimy w przyszłym numerze.

Ludwik Krzywicki.

PIERWOTNE INSTYTUCYE SPOŁECZNE.

Z nauk, których rozwój opiera się na zdobyczach etnologii, najbardziej może postąpiła porównawcza umiejętność instytucyj społecznych. Bez wątpienia, że i w tej dziedzinie śmiałe hipotezy kładą pomost ponad głębiny ciemne jeszcze dla nas; wogólności jednak nauka ta, ciągle się rozwijająca, baczy na ścisłość metody. Jest to jedną z największych zalet A. H. Posta, znanego na tem polu badacza, że przestrzega krytycznego punktu widzenia, unika o ile możności złudnych upodobnień i lekkomyślnych hipotez. Już w pierwszem większem dziele *Die Geschlechtsgenossenschaft der Urzeit und die Entstehung der Ehe* (1875), objawił dążność, której do dziś dnia pozostał wiernym, a która zwraca się przeciw popularnemu dotychczas mniemaniu o przemożnym wpływie wybitnych jednostek. Opierając się na psychologii społecznej, uwydatnia Post działanie praw postępu w poszczególnych okresach rozwoju społecznego, a znakomite osobniki uważa tylko za przejściowe punkta pewnych prądów szerokich.

Ogromny materyał o pierwotnych urządzeniach społecznych, zebrany dotychczas, porównywa autor z wielkiem rumowiskiem. Zdołano skonstatować istnienie pewnych instytucyj; atoli związek ich genetyczny bardzo jeszcze jest niejasnym i wątpliwym. W najnowszem dziele *) zajmuje się on rozwojem prawa rodzinnego. Dąży w niem głównie do stwierdzenia i pragmatycznego powiązania pewnych stosunków, które napotykamy u wszystkich niemal ludów pierwotnych. Najjaśniej występuje dotychczas system pokrewieństwa matczynego, tak zwany *matriarchat*, który według badań nowszych posiada większe znaczenie od patryarchatu. Zwłaszcza stosunki odkryte na archipelagu malajskim każą wielce powątpiewać o pierwotności patryarchatu. W jaki sposób z matryarchatu i patryarchatu powstała dzisiejsza rodzina, złożona z krewnych obu rodziców, jeszcze nie zbadano, a nawet system pierwotnego prawa matczynego (Mutterrechtsystem) nie zupełnie jeszcze jest znany.

Dzieje rozwoju instytucyi małżeństwa również wzbogacone zostały w ostatnich latach. Pogląd, iż poliandrya i polygamia powstała ze stanu całkowitego pomieszania płci i że systemy te należy uważać jako stopnie rozwojowe, poprzedzające monogamię, uległ pewnemu ograniczeniu. Znaleziono bowiem monogamię u ludów pierwotnych, chociaż nie jako instytucyę prawną, lecz jako skutek ubóstwa. Poligenia o wiele bardziej jest rozpowszechnioną, aniżeli poliandrya, która panuje głównie na wyżynie tybetańskiej.

Dalsze badania Posta odnoszą się do swobody wyboru pozostawionej narzeczonym lub odebranej im przez głowy rodziny; do małżeństwa opartego na porwaniu lub na kupnie i sprzedaży, przyczem uwzględnić należy symboliczne zwyczaje u germanów i słowian dawnych. Zajmujące są wywody autora o zemście międzypłciowej (Blutrache des Geschlechtes), która ważną odgrywa rolę w okresie, w którym płeć każda stanowi odrębną organizacyę i ujmuje się za skrzywdzoną jednostką.

*) *Studien zur Entwickelungsgeschichte des Familienrechtes.* Oldenburg, Schultze, 1890.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Dr. T. Mandybur, *Krzysztof Opaliński* jako pisarz satyryczny. Lwów, 1890.

Krzysztof Opaliński należy do typowych postaci naszej literatury barokowej, odbijających jakby w zwierciedle wklęsłem obraz swego wieku z jego wielkiemi cnotami, ale jeszcze większymi grzechami. Pamiętna zdrada Opalińskiego w r. 1655 i wydanie całej Wielkopolski w ręce szwedów spowodowane jedynie prywatą, stawia go w szeregu takich zdrajców ojczyzny, jak Janusz Radziwiłł lub Radziejowski; z drugiej strony śmiałość i otwartość, z jaką odsłaniał całą zgniliznę obyczajową, moralną i polityczną, w szlachetnej tendencyi naprawy stosunków społecznych, stawiają go w rzędzie bystro i dalekowidzących obrońców upadającego narodu. Satyry Opalińskiego są najwierniejszem odbiciem jego pełnej sprzeczności natury. Niezaprzeczony talent, dar spostrzegawczy i samodzielność, jednocześnie naśladownictwo najprostszego rodzaju, żywość myśli obok jałowych dyskursów, zarozumiałość obok udanej skromności, prawdziwe przedstawienie rzeczy obok oszczerstw i kłamstw, dążność do zmiany na lepsze i wiara w powodzenie, obok rozpaczy, wreszcie sama osobistość autora raz na pierwszy plan występująca, innym razem najstaranniej ukrywająca się przed obliczem czytelnika — wszystko to tłomaczy się dwulicowością jego chwiejnej natury. Satyry czyli przestrogi jego, jakkolwiek byśmy o nich sądzili, są zupełnym i dość wiernym obrazem Polski w wieku XVII. Zepsucie tego wieku zanadto leżało na wierzchu, aby go nie widzieć; we wszystkich prawie mowach, drukach, rękopisach pełno skarg na nierząd w sejmach i trybunałach, na niedostateczną obronę kraju, na bezkarną zuchwałość możnych, na wygórowaną prywatę. Lecz wykrywaniem tych wad i zdrożności zwiększył jeszcze Opaliński zarzuty, których mu nie szczędzono. Ponieważ bowiem w satyrach stoi na gruncie surowej, prawie katońskiej etyki a w postępowaniu sam dał aż nadto wyraźne dowody swego zepsucia moralnego, sprzeczność między pismami a życiem sama w oczy wpadała. Dlatego to Szajnocha, najdokładniej wchodzący w szczegóły jego życia, dosadnie wykazuje, że u Opalińskiego innemi drogami szły pisma a innemi czyny. Pierwszym krokiem senatorskiej funkcyi wojewody było zawiścią spowodowane uderzenie na książęcy tytuł stryja J. Ossolińskiego i innych panów, a satyra pod napisem „Dyogenes z latarnią ludzi szukający" upomina tonem niewinnym: „Nie bierzmy nikomu tytułów dla Boga. Mniej o tem, niech będzie książęciem i arcyksiążęciem, byle ojczyźnie służył i ręką i radą." Uraza o nienadanie mu marszałkowstwa odsunęła Opalińskiego na długi czas od spraw publicznych, jak znowu przyczyną późniejszego „rankoru" było odmówienie mu pieczęci mniejszej koronnej— a satyra p. t. „Mądry się tem kontentuje i obejdzie co Bóg dał" — podaje następującą rade: „Idź prawdą i cnotą, za którą lubo odniesiesz nagrodę, lubo nie, naucz się *sorte tua* kontentować." Widocznie nie chciał lub nie umiał być Krzysztof owym mądrym, bo postąpił sobie zwyczajem (zganionym w innej satyrze) „skorych do zemsty za lada odmówiony fawor królewski." W ten sam sposób sprzeciwiał się wojewoda swoim własnym przestrogom, gdy zrywał sejmy przez uległych mu posłów dla poruszenia swej osobistej do króla urazy, a karcił sejmujących, o których powiada, że „odgrywają komedyę, jakby na teatrze weneckim, przedstawiając naprzód długą kolej

ceremonii i prac około spisania półtora sta konstytucyi, a potem lada drobnostką spowodowane zerwanie sejmu.“ Sam styl wreszcie makaroniczny stawia autora w sprzeczności z zasadami przez niego zalecanemi. W satyrze bowiem: „Na tych, co się sobie mądrymi i uczonymi zdadzą“ potępia Opaliński zwyczaj pisania makaronicznego a wszystkie prawie satyry pełne są językowej ostrokacizny. Jaka jest przyczyna tych jaskrawych sprzeczności między słowami a czynami wojewody? Szajnocha tłomaczy to złym charakterem, obłudą i fałszem samego autora, który w społeczeństwie swoim dopatrywał się ciemnych plam, a w sobie widocznie same cnoty widział. Bełcikowski głębszej szuka przyczyny tych sprzeczności. Nie można przeczyć — powiada on — że w tych satyrach jest wiele prawdy, a potwierdzają to i inni autorowie, jak Twardowski, Wacław Potocki, Kochanowski, których nie można posądzić o złośliwą zawziętość i nieprzyjazne uczucie dla swych ziomków. Wyrażają się oni nieraz z oburzeniem, ale ich zarzuty łagodzi współczucie i żal, czego Opalińskiemu niedostaje. Jest on nieubłaganym sędzią. Wyzuwszy się niejako z ludzkich uczuć i trzymając się tylko z całą surowością litery praw, wydaje wyroki z zupełnem przeświadczeniem, że winnych tylko zasłużony los spotyka; obrażona duma odziała jego piersi w stalowy pancerz... Czuł w sobie, może być, że całkiem słusznie, siły i zdolności do przewodniczenia braci szlachcie na polu politycznem. Z natury czy może z obrachowania był trybunem szlacheckim, gardłującym za całe cią swobód swego stanu wobec królewskości.

Pomimo jednak tego nieprzyjaznego stanowiska, jakie zajął wobec tronu, pragnął również, aby dwór starał się o zjednanie go sobie i sam przyciągnął go do siebie, aby tym sposobem stanął w pośrodku między tronem a szlachtą, jako rozjemca narodowy, trzymający w swym ręku togę pokoju lub wojny między spierającymi się stanami. Jednak z obu stron zawiodły go nadzieje. Szlachtę musiała odstręczyć od niego wielka ambicya magnata, a króla — dumna postawa trybuna. Dlatego to uderza Opaliński w satyrach obosiecznym mieczem, wyrzucając stanowi rycerskiemu nieposłuszeństwo i nieuszanowanie królów i wystawiając tych jako męczenników szlachty, z drugiej strony obwinia monarchę o cudzoziemczyznę zagraniczną i wstrętną dla uczucia polskiego politykę. Tłomaczenie to stara się dr. Mandybur zbić, lecz niezupełnie słusznie, podając inne, uzasadnione zresztą pobudki działalności satyryka. Nie zaprzeczając, że pewne sprzeczności życia jego z pismami policzyć trzeba na karb charakteru i indywidualności, zwraca przedewszystkiem uwagę na okoliczność, że można być człowiekiem moralnie zepsutym a mimo to dobrym pisarzem. Zresztą ostateczny upadek Opalińskiego i zdrada jego, która go na zawsze potępić musiała, były kulminacyjnym punktem głębokiego oburzenia duszy magnackiej, graniczącego prawie z szałem. Satyry zaś, których pierwsze wydanie nosi datę r. 1650, są o wiele wcześniejsze i powstały w czasie spokojniejszego nastroju umysłowego, kiedy autor mógł jeszcze wiele zarzutów zmyć, któreby mu ktoś za jego dawniejsze postępki uczynił.

Zaznaczając różne stopnie rozwoju satyryka, tłomaczy nam dr. Mandybur dalsze sprzeczności jego charakteru, wykazując, jak w tym chwiejnym, skrytym i ambitnym charakterze, objawiającym jednak od czasu do czasu żarliwą chęć służenia krajowi— było jego dumie stało się zadość — wszelkie lepsze instynkta zwolna toną w bezdennej pysze, aż wszystko ogarnia w końcu podłość i zdrada. Niewczesne wyniesienie nieustatkowanego młodzieńca jedynie dla jego znakomitego rodu na krzesło senatorskie, co było wyjątkowem nawet w czasie rozpasania buty oligarchicznej, następnie zaś zupełne prawie ignorowanie znakomitego pisarza — postępowanie ze strony królewskiej zarówno nieoględne, jak niepolityczne — mogłoby było źle wpłynąć na kogoś z lepszym niż on charakterem; cóż dopiero, gdy trafiło na zawcześnie rozwinięty, podejrzliwy, słaby umysł, żądny za każdą cenę odznaczenia! Dr. Mandybur wydziela słusznie z satyr Opalińskiego grupę rad, przestróg o sposobach pomnażania miast, o zimowaniu żołnierza, o słobodach ukraińskich itp., w których niema nic satyrycznego; są to raczej traktaty społeczno-polityczne, niż satyry; lecz, żeby były pisane jako przygotowanie do mów sejmowych, naprzód prozą, a potem dopiero obleczone białym wierszem, na to nie przytoczono żadnych dowodów. Słowa Opalińskiego: „Kończę a życzę, aby te uwagi moje przyjęte i skutecznie wykonane były,“ nie dowodzą wcale, że „rady te krążyły pierwej w odpisach między szlachtą,“ wniosek zaś wysnuty z owych „rad,“ że Opaliński „nauczył się w akademii nadreńskiej systematycznego, logicznego porządku myśli i wnioskowania, i umysł jego z natury skłonny do bujania w sferach idealnego świata (?) pobudził do teoretycznych dyskursów, w których wszystko łatwem do przeprowadzenia się wydawało“ — należy także do owych śmiałych, a niczem niepopartych twierdzeń o radach i przestrogach Opalińskiego z czasów wyniesienia go na godność senatorską. Wyłączywszy pewną dozę zarozumiałości, zaufania we własny rozum i wykształcenie, którym, według swego zdania, przewyższał wielu innych, wyłączywszy dalej chęć popisywania się, dobitny czasem i ostry ton w pierwszych satyrach, przyznać musimy, iż kwestye przez Opalińskiego poruszane w tej pierwszej dobie tworzenia, bynajmniej nie były pozbawione słuszności. Pozostawało wiele do poprawienia w urządzeniu miast i osad, a nierząd wojskowy i upadek ducha wojennego aż nadto wyraźnie dawał się odczuwać, jeżeli zaś w czem miał młody Opaliński słuszność, to w skargach na słabą obronę granic i złe ubezpieczenie twierdz. Wszędzie tendencya chwalebna i bez zarzutu. Co zaś najwięcej wyróżnia pierwsze jego utwory od następnych, to brak owego wysuwania własnej osobistości i urazy na każdym kroku, która stanowi niejako podkład i charakterystyczne znamię dalszej jego działalności pisarskiej. Rzecz jest tu punktem głównym, około którego myśli autora się obracają, nie zaś jego własna osoba. Początek taki nieźle zdawał się wróżyć dla młodego autora i polityka; satyrami jednał sobie sławę, a przez sławę wyrobił sobie wybitne stanowisko.

(D. n.)

H. B.

REALIZM NA SCENIE NIEMIECKIEJ.

Berlin, 26 listopada.

Powstanie i działalność stowarzyszenia „Freie Bühne.“ — Dramat G. Hauptmanna „Vor Sonnenaufgang.“ — Jak się odradza literatura niemiecka.

„Freie Bühne,“ stowarzyszenie, o którem wspominaliśmy w ostatnim naszym liście, przybiera znaczenie doniosłe dla postępu realizmu w literaturze niemieckiej. Warto więc poznać dokładniej powstanie jego, cele i dotychczasową działalność. Grono założycieli, które przeszło następnie do wydziału, składa się z kilku wybitnych krytyków i autorów, pozyskanych widocznie dla sprawy tej przez siły młodsze. Między młodymi realistami niemieckimi istnieje od lat kilku rozdwojenie: obóz większy, głośniejszy, gdyż bardziej do reklamy pochopny, grupuje się około Bleibtreua i Conrada, oraz ich miesięcznika *Die Gesellschaft*, obóz mniejszy około braci Juliusza i Henryka Hartów, którzy od niedawna wydają literacki przegląd krytyczny. Henryk jest autorem „Pieśni ludzkości.“ Do ich grona należy ów młody Gerhard Hauptmann, którego dramat „Vor Sonnenaufgang,“ wystawiony właśnie na „Freie Bühne,“ spowodował wrzawę niesłychaną. Hartowie i Hauptmann, wiedząc dobrze, jak trudno autorowie nieznani zdobywają sobie uwagę publiczną, pozyskali dla „Freie Bühne“ Pawła Schlenthera, owego krytyka berlińskiego, który ubiegłej zimy wybrał się do Wiednia z odczytem, głoszącym sławę Ibsena, Ottona Brahma, poważanego dziś już historyka literatury i krytyka *Deutsche Rundschau*, Fryca Mauthnera, który wydaje od niedawna pismo literackie p. t. *Deutschland*, Juliusza Stettenherma, redaktora pisma *Das humoristische Deutschland*, dalej Ludwika Fuldę, komedyopisarza, którego sztuki obecnie grają już w Burgu wiedeńskim, Pawła Jonasa, znanego tłomacza z norwegskiego, wreszcie księgarza S. Fischera. Kiedy grono to w lecie rozesłało zaproszenie do udziału w „Freie Bühne,“ którahy nie współzawodnicząc ze scenami istniejącemi, nie kierując się smakiem dnia i względami kasowymi, wystawiała sztuki nowożytne, przedstawiające pewien postęp w dramacie, uzyskało ono w krótkim czasie około 654 członków, a tem samem dostateczną materyalną podstawę dla urzeczywistnienia swego programu. Zdecydowano się obecnie dawać przedstawienia w Lessingtheatrze, używając niedziel lub świąt. Pierwotny plan, aby w ciągu calego sezonu 1889—90 dać tylko dziesięć widowisk, porzucono. Ważną jest okoliczność, że fundusze stowarzyszenia pozwalają zapraszać do współudziału same niemal wybitne, a nawet pierwszorzędne siły aktorskie o kierunku realistycznym. Pierwsze przedstawienie odbyło się d. 29 września: dawano „Gespenster“ Ibsena, powołując Roberta z Burgtheatru wiedeńskiego, Maryę Schanser (żonę Bülowa), Teodora Lobego, Artura Krausenecka i Agnes Sormę. Było to przedstawienie pierwszorzędne i podziwiano zgodną całość po kilku zaledwie próbach. Publiczność, przy pierwszych aktach zdumiona, porwana przy końcu, okazywała po części oznaki niezadowolenia, lecz sykania przygłuszone zostały hucznymi oklaskami zwolenników realizmu. Karol Frenzel, pierwszy krytyk berliński, po pierwszych dwóch aktach opuścił teatr; Paweł Lindau natomiast klaskał demonstracyjnie. Grad kpin posypał się na „Freie Bühne“ w pismach codziennych i literackich, chociaż wszyscy uznać musieli zarówno potężny talent Ibsena, jak wyborną grę aktorów. Atoli „Duchy“ dawane już raz były w Berlinie, zresztą Ibsen to norwegczyk, a dla utworu autora zagranicznego ma się zawsze więcej pobłażliwości i uznania, aniżeli dla domorosłego. To też daleko więcej hałasu spowodował Gerhard Hauptmann swym pięcioaktowym społecznym dramatem „Vor Sonnenaufgang,“ danym 20 października. W teatrze powstała burza: publiczność zrywała się z siedzeń, przerywano przedstawienie tłumnymi okrzykami, którym odpowiadały oklaski: krytycy zostali tym razem aż do końca. Słowem, odbyła się walna bitwa realizmu z dawnemi wrażeniami estetycznemi. Oto krótka treść sztuki. Poznajemy rodzinę wieśniaczą na Szlązku, wzbogaconą dzięki pokładom węgla, znajdującym się pod jej zagonami. Doszedłszy do zamożności tak znacznej, że tryb życia chłopski zmienił się na pański, stary Krause, żona jego i dzieci oddają się rozpuście, a głównie pijaństwu. Gospodarz zapija się czembądź i nigdy nie jest trzeźwym. Żona jego, przyjmująca potajemnie wizyty przyszłego męża swej córki Heleny, zalewa się szampanem. Inżenier Hofman, mąż zmarłej starszej córki Krausów, człowiek brutalny i nikczemny, żyje wygodnie w tem gronie, aczkolwiek żona jego zmarła wskutek nadmiernego używa-

nia alkoholu, a i dziecko ich z tej przyczyny zginęło. Helena, wychowana w mieście, nabrała pokostu ogłady, niepokrywającego jednak zupełnie wieśniaczej jej natury; wykształcenie posłużyło jej tylko do nabrania świadomości smutnego stanu rodziny i wzbudziło w niej tęsknotę za czemś lepszem, czystszem. We wsi tej pojawia się Alfred Loth, agitator demokratyczny, człowiek o zasadach surowych, przeciwnik alkoholizmu. Dla Heleny jest on aniołem zbawienia; z wielkim talentem maluje Hauptmann powstanie miłości jej dla Lotha. Zanim się zoryentował w stosunkach rodziny, ulega on jej wdziękom. Atoli niebawem dr. Schimmelpfennig, towarzysz jego i przyjaciel, postać skrojona na wzór Bazarowa, objaśnia go. Loth nie chce mieć dzieci, w których żyłach płynie krew zepsuta alkoholem; żegna kochankę, a Helena, straciwszy nadzieję życia lepszego, zabija się; w tej chwili stary Krause, z śpiewką pijacką wtacza się na scenę.

Dramat ten wzoruje się widocznie na Ibsenie i Zoli. Mimo to krytyka berlińska jednogłośnie przyznała Hauptmannowi talent pierwszorzędny. Frenzel, Fontane i Lindau podnoszą zwłaszcza niepospolitą siłę charakteryzacyi. Krytycy przychylniejsi i mniej ważący swe słowa, przypominają „Zbójców“ Schillera i „Götza“ Goethego. Obok bogactwa charakterystyki, cechuje sztukę oryginalność techniki dyalogu. „Ludzie działający“ — tak Hauptman zowie osoby występujące — mówią po części dyalektem szląskim, a i tam, gdzie język jest czysty, odsłania naturę i wnętrze charakterów. Inowacyą, właściwą Hauptmanowi, są długie, wyczerpujące wskazówki, charakteryzujące każdą z postaci dramatu i opisujące każdą sytuacyę. Są to wskazówki tak szczegółowe, że przekraczają ramy informacyj dla aktora i reżysera, a to, czego autor żąda, nie zawsze nawet jest wykonalnem: rysów i koloru oczu aktor nie może przecież zmieniać. To też objaśnienia te przeznaczone są z jednej strony dla czytelnika, w którego ręce dostanie się dramat pod postacią książki, z drugiej służą reżyserowi i aktorowi dla szczegółowego wniknięcia w intencye autora. Rzec można, że instrukcye te mają wprost charakter nowelistyczny i że jako utwór literacki „Vor Sonnenaufgang“ jest jakąś mieszaniną poezyi dramatycznej i opisowej. Posłuchajmy, jak H. określa niektóre z osób:

„Minle, tęga dziewka wiejska, z twarzą czerwoną, tępą, otwiera drzwi środkowe, któremi wchodzi Alfred Loth. Loth jest średniego wzrostu, barczysty, ma ruchy pewne, zdecydowane, a jednak nieco niezgrabne; włosy jasne, oczy niebieskie, wąs cienki, rzadki, jasny; twarz koścista, o wyrazie poważnym, niezmiennym.“ „Drzwi szklane, wiodące do ogrodu zimowego, rozpycha ktoś gwałtem; wpada wieśniaczka (Krausowa), twarz ma czarno-błękitnawą z gniewu, ubrana jak praczka — twarz zła, zmysłowa. Cała postać zachowana nieźle.“ Dalej opis Heleny: „Postać jej wielka, nieco zbyt tęga, fryzura włosów jasnych, nader obfitych, wyraz twarzy, strój modny, ruchy, słowem cała jej zewnętrzność nie oznacza wcale dziewczyny wiejskiej.“

Pierwsza scena drugiego aktu opisaną jest w sposób następujący: „Poranek, godzina czwarta. W szynku okna oświetlone; ponad bramą szarawe światło poranne, które podczas sceny czerwienieje coraz bardziej, a następnie, również stopniowo, przechodzi w jasne światło dzienne. Pod bramą na ziemi siedzi parobek Beist i naprawia swą kosę. Przy podciągnięciu kurtyny widać zaledwie sylwetkę jego, odbijającą się na tle szarego nieba, ale słychać regularne uderzenia młotka na kosę. Przez parę minut słychać tylko te uderzenia; następnie uroczysta cisza poranna, którą przerywają okrzyki gości opuszczających szynk. Drzwi szynku zamykają się z trzaskiem. Światła w oknach gasną. W dali szczekanie psów, głośne, mieszające się ze sobą pianie kogutów. Z szynku ku zagrodzie zatacza się postać ciemna; jest to Krause, który, jak zwykle, ostatni opuszcza szynk.“

Podaliśmy ustępy te jako cechujące naturę realizmu Hauptmannowskiego. O ile rysopis figur po większej części pozostanie niespełnionem życzeniem autora, o tyle dokładny opis sytuacyi uważać można jako istotny i cenny nabytek dla techniki dramatopisarskiej; wskazówki to są wykonalne i posłużą sztuce reżyserskiej, która obok znanych efektów teatralnych nauczy się tego malowania natury i życia, które spotęgować musi znacznie złudzenie widza. Ważną i pouczającą jest okoliczność, że utwór Hauptmanna aktorowie, zebrani z pięciu teatrów, odegrali w sposób porywający. Krytycy przyznają, że rodzi on nową sztukę aktorską, ową sztukę naturalną, prawdziwą, podobną do życia, daleką od maniery wszelkiej, do której wzdycha publiczność, którą śmieszy już patos nienaturalny a nuży aktor będący zawsze sobą.

„Realizm zdobył sobie scenę niemiecką“ — tak głoszą przyjaciele Hauptmanna i Hartów. Właściwie rzec by należało: naturalizm dostał się raz na scenę niemiecką. Obraz, w którym Helena włóczy po ziemi pijanego swego ojca, lub drugi, kiedy nad rankiem przyszły zięć Krausowej wychodzi z pokoju jej w stanie nienadającym się do opisania, chyba nie często powtórzą się w dramacie realistycznym, do którego przyszłość należy. Jeden z krytyków przychylnych Hauptmanowi porównywa śmiech i oburzenie, wywołane tym dramatem, do owej wrzawy, którą przed 60 laty obudził „Otello,“ wystawiony przez romantyków francuskich. Chusteczka do nosa w tragedyi wielkiego stylu! — wołano wówczas. Trudno dopatrzyć się tu podobieństwa, gdyż widowiska brzydkie i wstrętne, w takich dawkach wprowadzone na scenę, nie zadowolą chyba nigdy publiczności o smaku zdrowym, wyrobionym.

Bądź co bądź jednak, przyznać należy, że z owych dwu grup młodych realistów niemieckich, Hartowie z Hauptmannem lepiej i przyzwoiciej wzięli się do rzeczy i obecnie na wybitniejszem i poważniejszem stają stanowisku, aniżeli grupa Bleibtreua. Podczas gdy ten i towarzysze jego, zajadłemi napaściami obrazili całą krytykę, poważnili się z całą prasą, i ośmieszyli się reklamą niesłychaną w historyi literatury, Hartowie i Hauptmann znaleźli drogę do publiczności szerokiej, cieszą się przychylnością wielu pism literackich (*Magasin*, *Gegenwart*, *Nord und Süd*, a nawet *Blätter für litterarische Unterhaltung*) i kilku dzienników berlińskich, wiedeńskich, lipskich, monachijskich i drezdeńskich. Są to okoliczności ważne dla powodzenia i postępu kierunku realistycznego.

Realizm niemiecki rozwijał się w sposób normalny i zdobył sobie najpierw powieść i lirykę, następnie dramat. Trafną jest obserwacya jednego z młodszych krytyków niemieckich co do źródła odrodzenia poezyi niemieckiej. Zauważył on, że ona trzy razy odrodziła się dzięki zwrotowi do tematów ludowych. Romantycy odświeżyli poezyę liryczną, sięgając do pieśni ludowych; realizm w powieści niemieckiej rozwija się od chwili, w której napisano pierwsze nowele na tle życia wieśniaczego; naturalizm opisowy w Niemczech rozpoczął malowaniem sfer najniższych. Obecnie Niemcy posiadają jednego tylko dramatopisarza, stojącego w rzędzie realistów prawdziwych, a mającego przytem kierunek poważny: jest nim Anzengruber, autor dramatów z życia wieśniaczego. I Hauptmann obrał temat ludowy. Rzec by można, że muza, przedelikacona i schorzała w sferach arystokratycznych i mieszczańskich, wraca zawsze do czystego powietrza wiejskiego, by tu odzyskać stracone zdrowie. Hauptmann, człowiek nienadający się do atmosfery salonu, nienawidzący niemal „towarzystwo“ a tem szczerzej kochający lud, był snać powołany do stworzenia jednego z pierwszych ogniw w łańcuchu utworów, które złożą się na realistyczne dramatopisarstwo Niemiec.

Ladawa.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Prawdopodobieństwo losu naszych stowarzyszeń. — Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu. — Przerażeni jego członkowie. — Wyrok śmierci wydany przez *Gazetę losowań*. — Ludzie nieszczęśliwi. — Ostemplowany paszkwil. — Dopóki? — Wybór pism Heinego. — Dowód znakomitości dzieła. — Nowe pojmowanie *Hamleta*.

Gdybym wam, czytelnicy, powróciwszy do kraju po dwuletniej nieobecności doniósł, że zawiązało się u nas „*Towarzystwo* oczyszczania i sprzedaży spirytusu“ i gdybym wam kazał zgadnąć jego stan obecny, nawet najmniej domyślni odpowiedzieliby z pewnością: albo się wali, albo już się zwaliło. Podobne przypuszczenie prześladowało mnie natrętnie przed dwoma laty, ale odegnałem je argumentem: jak to, tylu książąt, hrabiów, możnowładców, obywateli świecących i brzęczących miałoby zbudować sobie chałupę, któraby zaraz runąć miała? To niemożliwe. Chudopachołki wznoszą szałasy i lepianki, które byle wiatr przewraca lub które nawet bez wiatru się zapadają, ale nie tacy architekci kapitalizmu! Tymczasem przed paru tygodniami przez wszystkie telefony prasy dało się słyszeć trzeszczenie: Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu, oparte na mocnych karyatydach finansowych, zachwiało się groźnie. Na zebraniu akcyonaryuszów zarząd przedstawił rachunek roczny, z którego, po wszystkich złagodzeniach złośliwości losu, wystąpiła czarna, czarniejsza niż użyty do napisania jej atrament, cyfra 7,000 rs. strat. Siedem tysięcy rubli, wobec 300,000, stanowiących majątek Towarzystwa, wobec pierwszych jego kroków i wobec nieprzyjaznych zmian w handlu spirytusem — zdawałoby się, że to jeszcze nie powód do rozpaczy i obaw o bankructwo. Inaczej wszakże to widmo podziałało na niektórych mocarzów pieniężnych. Dość znaczna grupa ich zażądała w przerażeniu likwidacyi przedsiębiorstwa. Zaledwie śmielszym i na szczęście liczniejszym udało się udaremnić ten zamach i tylko zaostrzyć dozór nad gospodarką zarządu. Więc do czasu jeszcze dzban wodę nosić będzie. Czy długo? *Gazeta losowań* utrzymuje, że on już niema ucha. Kopnęła go też jak nieprzydatną do niczego skorupę. Według niej, Towarzystwo odrazu podorwało sobie grunt, umieściwszy $^2/_3$ swego kapitału w zaliczkach u obywateli wiejskich bez żadnej rękojmi, prócz osobistej odpowiedzialności dłużników, pozostałą zaś część trzecią unieruchomiono w zakładzie rektyfikacyjnym, który przyniósł 21,158 rs. straty (cyfrę tę za pomocą rozumowań bilansowych sprowadzono do 7,000). „Kierownictwo interesów instytucyi na tych zasadach jest fatalnem, zgubnem i niechybnie musi doprowadzić do ruiny...“ Ustawa przewiduje zaliczenia producentom na dostawić się mającą okowitę, jako *malum necessarium*, jako rzecz wyjątkową, dopuszczalną w rzadkich wypadkach, a tymczasem zarząd podniósł ten wyjątek do znaczenia reguły, stał się rodzajem banku do wypożyczania pieniędzy; istotnie też największy zysk, przez instytucyę osiągnięty, pochodzi z procentów (26,018 rs.), gdy na wywozie okowity, czyli na podstawowej gałęzi operacyjnej, zarobiono tylko 14,000 rubli.“ Za koronę tej gospodarki uważa

Gazeta odrzucenie wniosku hr. Ostrowskiego w przedmiocie rewizyi kredytów, w tak olbrzymiej sumie przez zarząd udzielonych.

Nie przecząc słuszności tych zarzutów, przyznać trzeba, że my jesteśmy bardzo nieszczęśliwi, jak wszyscy ci, którym—według przysłowia greckiego — Jowisz rozum odbiera, zanim się ukaże. Bo istotnie, czyż to nie okropna dola pojmować całą doniosłość stowarzyszeń, widzieć w nich główną dźwignię dobrobytu i pomyślności, a nieraz główny środek ratunku i jednocześnie nie umieć ich podtrzymywać? Powstają one i nikną jak wzgórki piasku na pustyni, jak fale na morzu. I czego właściwie nam brak dla nadania im trwałości? Czyśmy ograniczeni, samolubni, niespokojni, nierzetelni? Nie, ot po prostu dusze nasze składają się z porywów, uniesień i odruchów bezwiednych, a nie posiadają tego hartu, który wytwarza trzeźwą rachubę, nieugiętą surowość w pojmowaniu obowiązków i maszynową ścisłość w wykonywaniu ich. Czy p. Przyłubski i jego towarzysze w zarządzie— są to ludzie nieudolni lub lekkomyślni? Nie. Czy ci panowie, którzy pobrali zaliczki, a nie odstawią nigdy okowity — są to wydrwigrosze i oszuści? Także nie. Obie strony działały z dobrą wiarą i wolą, ale ze złą dla działań handlowych naturą. Zarząd, dając zaliczkę błagającemu o nią szlachcicowi, ufał mu; szlachcic, przyjmując ją, tak ufał sobie, że byłby zastawił najukochańsze dziecko; ale przyszła jakaś potrzeba, za nią Jankiel, który ofiarował swą pomoc za... sprzedaż okowity — i tym sposobem Towarzystwo oczyszczania spirytusu poniosło stratę, a jego dłużnik zrobił paskudztwo. To też *Gazeta losowań* zasadnie domaga się wygnania z instytucyi sentymentów, ratujących „zagrożoną własność większą.“ Bo one jej nie ocalą, a przedsięwzięcie zgubią. Towarzystwo musi rozstać się ze swą wzniosłą rolą banku ratunkowego i zająć się wyłącznie — oczyszczaniem oraz sprzedażą spirytusu.

* * *

Jakiś czarno-żółty warchlak krakowski, zapłaciwszy od siebie kopytkowe na rogatce dziennikarskiej, wskoczył na *Prawdę* i podarł ją za uwagi moje o Austryi, pomściwszy przytem skrzywdzony honor swej zagrody w taki sposób, w jaki tego rodzaju istoty walczyć jedynie umieją. Mianowicie wywnioskował bez wahania, bez skrupułu w sumieniu i bez osłonki w słowie, że za wycieczkę przeciw Austryi chciałem zdobyć „ulgi“ dla *Prawdy*. Nasze życie publicystyczne jest tak dalece przejrzyste i we wszystkich swych stosunkach znane, że całkiem może się obejść bez obrony na skargę pierwszego lepszego łobuza. Dla Tersytesów krakowskich niepotrzebny Achilles, któryby ich zabijał, ani nawet Odysseusz, któryby ich „berłem“ karał. Robaczki, które żyją kroplami krwi ludzkiej, o ile nie rozmnożą się zbyt licznie, mogą być lekceważone. To też jakkolwiek ktoś życzliwy przysłał mi wycinek, na którym z nagłówka pozostało *Kuryer...*, i objaśnił, że paszkwil jest spółkową robotą „idyoty Or.“ i R., nie jestem ciekaw ani dopełnienia tytułu gazetki, ani sprawdzenia nazwiska, czy nazwisk jej procarzów. Smutnym tylko, nie w tym jednym, ale w wielu wypadkach jest fakt, że prasa galicyjska, pomimo wszystko, co jej powiedziano ustami i piórem, zamiast być względem nas strażnicą prawdy i organem krytyki rzetelnej, zachowuje ciągle kanały dla kłamstw i potwarzy. Rozbestwienie języka doszło tam do takiego stopnia, że rozwarta od ucha do ucha gęba nazywa się tonem przyzwoitym, obelga — zwrotem polemicznym, oszczerstwo—dowcipem. Rzucają się tam publicznie słowa najcięższej obrazy i najbardziej krzywdzącego posądzenia z tak lekką myślą, jak gdzieindziej niewinne koncepty. Z zupełnem pominięciem lepszych, godniejszych zadań niektóre dzienniki galicyjskie uprawiają wyłącznie denuncyatorstwo patryotyczne. Kiedyż ta ohyda ustanie!

Zawsze religią, zawsze moralnością lub patryotyzmem liche subjekty upiększają swoje napaści — powiada Heine — od których i my otrzymać możemy niejedną świetną przestrogę. Wątpię nawet, czy jest drugi pisarz zagraniczny, któregoby częściej u nas przypominać należało. To też „Spółka nakładowa“ podjąwszy wydanie jego dzieł, wyświadczy społeczeństwu naszemu rzeczywistą przysługę. Zobaczy ono w nich nietylko wielkiego poetę, ale umysł oświetlający znakomicie objawy i stosunki zwyrodnienia. Panuje u nas mniemanie, które przeniknęło aż do... *Bibliografii* Estreichera, że Heine był zawziętym nieprzyjacielem polaków. Z równą słusznością możnaby to samo powiedzieć o Starowolskim, Krasickim, Staszicu lub Lamie. Potrzeba na to wysokiej naiwności albo też szczególnego samolubstwa, ażeby od satyryka, który swym sarkazmem chłostał całą Europę, wymagać jakiegoś respektu dla jednego obcego mu narodu. Przytem kto pozna pisma Heinego, ten musi dostrzedz, że stosunkowo najmniej z nas szydził i wiele gorących uniesień nam poświęcił. Jeżeli kogo poił żółcią, to przedewszystkiem własnych rodaków. Prosię pieczone z liśćmi bobkowymi przypomina mu ojczyznę, „największym głupcem świata jest — według niego — naród niemiecki,“ a gdzie kazał czytać wróżbę przyszłości Niemiec — nie powtórzę. Co zaś mówił o pazurach orła pruskiego — warto wiedzieć.

W przeszłym tygodniu obiecałem wam czytelnicy komentarz do *Hamleta*. Każdemu, kto myśleć umie, zna Shakespeare'a, pamięta, że to był słabo ukształcony aktor i żył przed trzema wiekami, jego głowa pełna nadzwyczajnej mądrości i głębokich idej, wydawać się musi pończochą, w którą nasypano dukatów, z tą tylko różnicą, że dukaty nawet w pończosze zachowują swoją wartość, a ową dorobioną mądrość można oddać na pastwę Omarowi lub kucharkom. Mimo to Shakespeare pozostaje olbrzymem, gdyż oprócz wewnętrznych dowodów geniuszu, spoczywających w jego dziełach, przekonywa o tem jeden, także wymowny, zewnętrzny. Zauważcie tylko: ile razy pojawi się w literaturze jakiś genialny człowiek, zawsze jedną gromadę umysłów rozświeci, a drugą zamroczy. Nazwijcie to sobie paradoksem, ale według mnie dzieło, które wszystkich nauczy, a nikogo nie ogłupi — nie jest wielkiem. Dopiero wtedy, gdy jednych ukształci, a drugich odurzy, wtrąci w obłęd, oszołomi fanatyzmem, potarga im ich własny rozum— rzec można, że jest nieśmiertelnem. Zrobił to Shakespeare a zwłaszcza jego *Hamlet*. Dlatego, im więcej będzie „nowych pojmowań“ królewicza duńskiego, tem więcej dowodów, że dramat stworzyła ręka potężna. A te „nowe pojmowania“ nie ustają. Dotąd — po trzech wiekach! — znajdują się jeszcze aktorzy i krytycy, którzy odkrywają w nim nowe rysy, którzy topią w nim całą swą inteligencyę, którzy piszą o nim tomy i którzy sądzą, że swym następcom pozostawili jeszcze niewyczerpaną kopalnię materyału do nowych rozmyślań. W tej chwili, kiedy czytacie te wyrazy, rodzi się gdzieś na kuli ziemskiej świeży hamlecista, który za lat 20 lub 30 dowiedzie, że on dopiero *Hamleta* „właściwie zrozumiał.“ Nie śmiem przewidywać, kiedy to się skończy, w każdym razie nieprędko. Bo ręczę, że gdy p. Kotarbiński grał na scenie królewicza duńskiego w „nowem oświetleniu,“ nietylko w krzesłach, ale i na paradyzie siedziało 30 komentatorów Shakespeare'a, którzy nie godzili się co do pojmowania tej roli i z p. Kotarbińskim i między sobą.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wiadomości administracyjne. Rada państwa postanowiła pozostawić bez zmiany skład osobisty instytucyj włościańskich w Królestwie Polskiem aż do dalszych wskazówek doświadczenia. Jednocześnie teraźniejszy minister spraw wewnętrznych, sekretarz stanu Durnowo, niedawno wniósł do Rady państwa przedstawienie o potrzebie pozostawienia nadal w dawnym rozmiarze kredytu na utrzymanie wydziałów prawnych przy rządach gubernialnych we wszystkich dziesięciu guberniach Królestwa Polskiego.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż ministeryum skarbu utworzy komisyę pod prezydencyą dyrektora departamentu kolei żelaznych, Wittego, która opracuje ogólne przepisy, określające bliżej czynności składowe i komisowe kolei żelaznych.

— Koszt zorganizowania sądów w guberniach nadbałtyckich obliczono na 2 miliony rs.

Koleje. Droga żelazna Nowogrodzka zamierza przedłużyć swą linię do miejscowości Sobry w gub. pskowskiej, następnie połączy Sobry z Pskowem nową linią i stworzy tym sposobem komunikacyę z Rygą.

— Pierwsza kolej elektryczna we Włoszech wkrótce będzie zbudowaną na przestrzeni 20 kilometrów.

— Młody cesarz chiński podobno wydał rozkaz budowania kolei z Pekinu do Hankoi. Linia ta będzie miała przeszło tysiąc kilometrów i połączy najważniejsze miasta w tym kraju.

Szkoły. W ministeryum oświaty opracowano plan egzaminów semestralnych dla studentów wydziału prawnego. Będą się one odbywać po 2-im i 4-ym semestrze. Następnie studenci, kończący kurs, składać będą egzaminy państwowe tylko z czterech ostatnich semestrów, a nadto z kursu historyi i dogmatyki prawa rzymskiego. Według planu, najważniejszymi przedmiotami będą: prawo cywilne i kryminalne z odnośnemi procedurami, prawo finansowe i kościelne.

— Wydane będą wkrótce nowe przepisy o egzaminach na stopień lekarza. Stopień „niedostateczny“ z jednego przedmiotu, objętego programem egzaminu, nie będzie przeszkadzał dalszemu egzaminowi; dopiero dwa stopnie niedostateczne stanowią o niezłożeniu egzaminu. Ci, którzy nie zdali egzaminu, będą mogli uskutecznić to podczas jednego z najbliższych terminów egzaminacyjnych, najpóźniej jednak po dwóch semestrach. Ci, którzy po raz drugi nie zdali egzaminu, tracą raz na zawsze prawo składania go. Komisya egzaminacyjna obowiązana będzie corocznie składać kuratorowi okręgu szczegółowe sprawozdanie o przebiegu egzaminu.

— Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratorów okręgów naukowych, iż na razie nie przyjmuje żadnej decyzyi co do wniesionych projektów szkół przemysłowych, ponieważ zachowuje sobie możność informowania się corocznie o potrzebach różnych miejscowości państwa.

— Od 24 b. m. do 22 grudnia odbywać się będą doroczne egzaminy w 29 warszawskich szkołach niedzielno-rzemieślniczych.

— Zapis praktykantów handlowych do szkoły rzemieślniczej im. Michała Konarskiego (Nowe-Miasto nr. 4) odbywać się będzie od 25 do 29 b. m. Zapisujący się kandydaci powinni się zaopatrywać w świadectwa urzędu starszych zgromadzenia kupców o zapisaniu się na listę praktykantów handlowych, w świadectwa metryczne i dowody pochodzenia. Kandydaci zapisani powinni się stawić d. 1 grudnia o godz. 9 rano w gmachu gimnazyum III dla zdania egzaminu.

— Dnia 21 z. m. w auli uniwersytetu dorpackiego odbyła się pierwsza lekcya wstępna w języku ruskim docenta prawa ruskiego, p. Diakonowa.

— Szkoła techniczna przy kolei Terespolskiej, która w zeszłym roku liczyła 100 uczniów, obecnie posiada zaledwie 28. Zmiana ta jest następstwem wydanego niedawno rozporządzenia, które wymaga od kandydatów ukończenia szkoły początkowej miejskiej lub wiejskiej, według typu z r. 1872. Przepisy te obejmują okrąg kolei Południowo-Zachodnich, do którego i Terespolską pod tym względem zaliczono.

— General-gubernator warszawski pozwolił otworzyć w Warszawie trzy szkoły żeńskie, które będą miały na celu uczenie rzemiosł. Do zakładów tych będą przyjmowane dziewczęta i kobiety moralnego

prowadzenia się, przeważnie ze stanu średniego (przychodnie i pensyonarki). W szkołach pomienionych nie wolno wykładać przedmiotów naukowych oraz języków. Podlegać one będą kontroli policyjnej.

— Z rozporządzenia ministeryum komunikacyi wzmocniono praktyczne zajęcia w szkołach kolejowych.

— Przy uniwersytecie w Czerniowcu ma być wkrótce otwarty wydział medyczny.

— Kolegium królewskie w Belforcie postanowiło z początkiem bieżącego roku szkolnego przypuścić na wydział lekarski kobiety i wydawać im dyplomy doktorów medycyny.

Zjazdy. W Poznaniu obradował sejmik związku rewizyjnego spółek zarobkowych w departamencie poznańskim. Takiż zjazd (departament bydgoski) odbędzie się wkrótce w Gnieźnie.

— Międzynarodowy zjazd uczonych, zajmujących się pomiarami kuli ziemskiej, odbył się w Paryżu.

— W Petersburgu będzie zwołany zjazd weterynarzy, na którym poruszoną zostanie sprawa zapobiegania wypadkom ukąszenia przez wściekłe zwierzęta.

Wystawy. Towarzystwo łowieckie ma urządzić wystawę myśliwską.

— W Londynie ma się odbyć w r. 1890 wielka międzynarodowa wystawa wojskowa, która da dokładny obraz dzisiejszego militaryzmu.

— Wystawa starożytnej i nowożytnej sztuki stosowanej do przemysłu będzie otwarta w dniu dzisiejszym (9 b. m.).

— Warszawski zarząd Towarzystwa ogrodniczego stara się, aby w przyszłorocznej wystawie ogrodniczej przyjęła jaknajszerszy udział prowincya. W tym celu we wszystkich miastach gubernialnych mają być urządzone agentury do przyjmowania deklaracyj. Przyszłoroczna wystawa ogólna będzie wstępem do prowincyonalnych, co rok w innem z miast gubernialnych.

Ulgi. Przewyżka kapitału zasobowego ponad normę, oznaczoną w ustawie Towarzystwa kredytowego m. Warszawy jest większą od przeszłorocznej. Sumy z tego źródła obracane są zwykle na zmniejszenie najbliższej raty, przynależnej Towarzystwu. Bonifikacya, udzielana przez Towarzystwo od lat czterech, w r. b. wynosić będzie $^1/_2$% od każdej pożyczki (w dwóch latach ostatnich zmniejszenie raty stanowiło $^2/_5$%). Z ulgi tej korzystać będą wszyscy stowarzyszeni, którzy otrzymali pożyczki przed 3o września r. b.

— Do dyrekcyi szczegółowej Tow. kred. ziemsk. w Radomiu nadesłano 140 podań o ulgi. Delegaci taksowi rozpoczęli sprawdzanie skutków nieurodzaju.

— W fabryce Kindlerów w Pabianicach zmniejszono liczbę godzin pracy, tak, iż robotnicy zajęci są tylko od godz. 8 rano do 6 wieczorem. Nie wiemy tylko, czy z ograniczeniem czasu nie ograniczono zarobków.

Kasy. Kupcy i przemysłowcy m. Zamościa wysyłają do ministeryum skarbu prośbę o zezwolenie na otwarcie w Zamościu kasy pożyczkowo-wkładowej.

— Pocztowo-telegraficzne kasy oszczędnościowe będą podlegać dozorowi Banku państwa.

Stowarzyszenia. W Petersburgu powstaje Towarzystwo rozszerzania wykształcenia handlowego.

— Warszawscy lekarze homeopaci zamierzają zawiązać stowarzyszenie w celach naukowych.

Epidemie. W Warszawie ospa szerzy się gwałtownie.

— Podług urzędowych wiadomości z Mezopotamii, w ciągu dwóch ostatnich miesięcy zapadło tam na cholerę 5,983 osób. Obecnie umiera po 200 chorych dziennie.

Klęska. Wieś Świątniki pod Krakowem spłonęła do szczętu. Straty wynoszą 60,000 złr., sejm zaś udzielił pogorzelcom zapomogi w kwocie... *trzysta* złr.

Katastrofa. W Glasgowie skutkiem orkanu zawaliła się część fabryki kobierców Templetona podczas kiedy w przędzalni pracowało 150 kobiet. Zaledwie około 50 mogło się z nich uratować. Przeszło sto zginęło pod gruzami.

Bibliografia. E. Porębowicz, *Ruch literacki południowo-zachodniej Europy*, Kraków, str. 199.

— A. Suligowski, *Kwestya mieszkań*, Warszawa, str. 86.

Zmarli. Teodozya Friderici-Jakowicka, artystka opery i nauczycielka szkoły śpiewu przy teatrach warszawskich.

— Mikołaj Uspieński, pisarz ruski, odebrał życie z nędzy.

— Timofiejew, król bawełniany w Motkwie. Niemal cały przemysł bawełniany okręgu moskiewskiego jest skupiony w rękach rodziny zmarłego.

— Julian Dupré, pejzażysta francuski.

— Annna Forstenheim-Hirschler, poetka i powieściopisarka niemiecka, we Wrocławiu.

— Dr. Max Leidesdorf, sławny psychiatra wiedeński.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Orso. Czytelnik nie może współczuć z autorem w tych żalach, bo wie o bohaterce tylko to, że była biedną i umarła. Więc skutkiem tego obrazek niema treści i chybia celu.

Panu Sat. Sik. „Zawiadomienia“ wydawnicze możemy drukować tylko w dziale ogłoszeń.

Panu Sch. c. k. a. p. Rozmyślania Pańskie nie mają żadnej wartości filozoficznej. Rękopisów nie odsyłamy, tylko zachowujemy je do zwrotu.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Sprostowanie. W nr. 43 *Prawdy* zamiast: umarł król portugalski *Karol*, a wstąpił na tron *Ludwik* — powinno być odwrotnie.

Ogłoszenia.

Wydawnictwa „Prawdy.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tłom. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmysłność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1 k. 5o.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 5o).

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — k. 5o.

— **Klemens Boruta**, powieść — k. 40.

— **Niewinni**, dramat w 3 aktach — k. 8o, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron** w urywkach — rs. 1 kop. 20 z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald. **Historya XIX w.** od r. 1800— 1888 — rs. 3 k. 3o, z przesyłką rs. 3 k. 60.

E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, w przekładzie A. Bąkowskiej— rs. 2., z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 25.

Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 2.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 5o.

Gumplowicz L. System socyologii—rs. 3 k. 3o, z przesyłką rs. 3 k. 6o.

Kramsztyk Stanisław. O postaci i ciężarze ziemi. str. 93 — k. 6o.

Okolski A. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P. — rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 3o.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — k. 6o.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 8o.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej**: Warszawa, **Marszałkowska, nr. 95.**

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Октября 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.